Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1887. Rok X.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

# ZWIERZĘTA ŁOWNE.

## ZAJĄC

PRZEZ

**KAZIMIRZA REMISZEWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy).

„Padanie zajęcy w ogrodach, należycie zresztą pielęgnowanych, nie pochodzi z właściwości niekorzystnej gruntu lub klimatu, gdyż zdarzało się, iż w jednym ogródku wszystkie zające około 50 w przeciągu dni 14 padły, podczas gdy w innym do tego samego właściciela należącym nie opodal położonym, wszystkie zdrowo się chowały. Ponieważ egzystują rośliny dla zajęcy stanowczo szkodliwe, przyszedłem do przekonania, że przyczyny śmiertelności w pożywieniu szukać należy. Na wolności, gdzie zające najstosowniejszą dla siebie karmę dowolnie sobie wyszukiwać mogą, już sam instynkt powstrzymuje je od spasania szkodliwych roślin, zresztą wiele ruchu paraliżuje może szkodliwy wpływ tych roślin na organizm.

W zajęczarni powinniśmy się więc przedewszystkiem o to starać, aby dostarczać zającom jak najróżnorodniejszego żeru, by one nie były zmuszone spasać tych ziół i krzewów, które są im szkodliwe, powtóre winniśmy ze zajęczarni usunąć te szkodliwe rodzaje roślin i nie używać ich do remiz. Wykazu roślin stosownych na żer dla zajęcy nie podaję obecnie dla tego, że nieuważam doświadczeń moich za skończone, powtóre za dalekoby nas szczegółowe wyliczanie zaprowadziło. Tak n. p. żyto i owies, które jako ruń są znakomitym dla zajęcy żerem, stają się szkodliwemi, gdy źdźbła ich dostaną kolanek, a obok koniczyna, trawa, rozmaite korzenie i t. d. nie rosną. I z innym żerem ma się rzecz podobnie. Zasadą jest, w ogródku wszystkie przez zające spasane rośliny uprawiać w jak najliczniejszej rozmaitości, aby one dowolnie, jak na wolności, wybierać mogły te, które im służą".

„Przechodzę do doświadczeń moich, tyczących się wielkości zajęczarni i znajduję, że podana przezemnie pierwotnie wielkość trzech morgów jest najodpowiedniejszą. Na tej przestrzeni można wyprodukować potrzebną karm dla 10 samic i 2 gachów w raz z jednorocznym przychówkiem i dadzą się zające, celem sortowania, z uniknięciem zbyt wielkiego niepokojenia i uszkodzeń, wyłapać. Zbyt wielka przestrzeń zajęczarni nastręcza tyle trudności, iż rzadko można dokonać czynności łapania zajęcy bez uszkodzenia takowych. Radzę tedy tym panom, którym trzymorgowa zajęczarnia nie wystarcza, aby ich dwie założyli, zawsze jednak trzy-morgowy ogródek wystarczy na rewir 2000-morgowy. Co się tyczy ogrodzenia zajęczarni,

przyszedłem do przekonania, że podana pierwotnie wysokość 6½ stóp nie jest wystarczającą, zdarzało się bowiem, że zające przez taki płot przeskakiwały. Radzę więc płot 8 stopowy. Przekonałem się również, że nie koniecznie musi być ogrodzenie parkanowe z desek lub z tyk prostopadle plecione, lecz że zwykły płot najtańszy, dobrze zacierniony jest dostateczny, skoro tylko dobrze pleciony i łapki są w porządku. Co do łapek, to okazały się one o tyle praktycznemi, iż w wielu miejscowościach złapano bardzo wiele tchórzów, łasic, kotów, jastrzębi i t. d., niewystarczają mi one jednak ze względu na kuny i lisy. Wina leży w łapkach, gdyż wszystkie drapieżce ściągają się ku zajęczarniom i bywają na ścieżkach tropione. Gdyby łapki były odpowiedne, oczyściłoby się całą okolicę z drapieżników. Przyrządy do chwytania zajęcy wymagają również ulepszeń, siecie uważam za gorsze od koszów. Najbliższem mojem staraniem będzie w tych obu kierunkach wprowadzić ulepszenia".

„Trzy-morgowa zajęczarnia z kolonją 10 samic i 2 samców wystarcza aby rewir 2000-morgowy zapełnić taką liczbą zajęcy, jaka tamże bez szkody dla ziemiopłodów wyżyć może. Taką ilością jest 500 sztuk, które do szczętu mogą być wystrzelane, bez wyrządzenia szkody zwierzostanowi na lata przyszłe, gdyż 10 samic w ogródku wychowa 100 młodych, z których połowa będzie samic (?). Tych 50 samic wraz z 10 gachami wypuszcza się w lutym na pola, spotrzebowując pozostałych 40 samców na kuchnię lub targi i można się z pewnością spodziewać, że każda samica na wolności 10 młodych wychowa, wzrośnie tedy stan zajęcy w przeciągu roku do 500 sztuk. Zanotować tu wypada również i tę korzyść, że się oszczędza wiele szkód w ziemiopłodach, gdyż aby się 500 zajęcy bez pomocy ogródka dochować, potrzebaby według doświadczeń starych myśliwych po skończonych polowaniach conajmniej 250 zajęcy pozostawić. Przypuściwszy, że strzelanie zajęcy z pierwszym Grudnia się kończy, to jedzą te pozostałe 250 zajęcy przez cały rok czyli 365 × 250 = 91.250 dziennych racyi. Do tego trzeba dodać, iż właśnie w zimowych miesiącach najwięcej zawsze jest szkód przez ogryzanie szczepów i leśnych sadzonek i zawsze przybytek jest wątpliwy, gdyż jeśli w pozostałych do rozpłodu zającach więcej jest samców, to trudno aby do zamierzonej cyfry dojść można było. Ze zajęczarni wypuszcza się wymienionych 60 zajęcy najwcześniej 1. lutego, jedzą one tedy tylko przez 10 miesięcy czyli 60 × 300 = 18.000 dziennych racyi, a więc o 73.000 mniej niż na wolności będące i dają większą gwarancyę pomnożenia się zwierzostanu. Prócz tego narażone są zające na wolności na prześladowania rozliczne, szczególnie kłusowników, podczas gdy w zajęczarni dobrze strzeżone wolne są od tej plagi".

„Jako bardzo przyjemny uboczny dochód ze zajęczarni, który gdzieniegdzie głównym stał się dochodem, uważać należy doskonałą sposobność połączenia zajęczarni z bażantarnią. Biorąc ostatecznie na uwagę również niszczenie drapieżników, to korzyść zajęczarni tylko pod tym jednym względem jest tak znaczną, iż opłaci się sowicie, gdyby nawet żadnych innych nie dawała korzyści".

Na innem miejscu powiada Hartung: „Doradzana przezemnie 3-morgowa wielkość zajęczarni jest dostateczną, jeśli przynajmniej ⅛ morga na koniczynę użytą zostanie, a resztę przeznaczy się pod uprawę rozmaitych zbóż. Udawała się wprawdzie tu i ówdzie hodowla zajęcy i na ¼-morgowej przestrzeni, nie mogę jednak tego zalecić, gdyż zając sam sobie powinien szukać odpowiadającej mu karmy i każde najmniejsze zaniedbanie w zakładaniu karmy pociąga za sobą ginięcie zajęcy. Zapewne że lepiej udaje się chów na przestrzeni 6 do 10 morgów, zwiększają się jednak trudności chwytania zajęcy, co dwa razy w roku, celem sortowania, jest potrzebnem. Mimo tego jednak tym panom, którzy nie lękają się znaczniejszych kosztów, zalecam zakładanie 6-morgowych ogrodów, mianowicie zaś wtedy, gdy ze zajęczarnią połączyć chcą chów kuropatw i bażantów, co się znakomicie udaje".

„Chwytania zajęcy w siecie nie mogę zalecać, gdyż w ten sposób zające zanadto się płoszą i zdarzają się często wypadki, iż w siecie schwytane zające albo natychmiast, albo po kilku tygodniach ginęły, podczas gdy w kosze łapane zające nie uszkodzały się wcale. Miejsce na zajęczarnię wybrane powinno mieć położenie ciepłe i znajdować się ma wewnątrz pagórek, celem zabezpieczenia zającom osłony od wiatrów ze wszech stron. Gdyby takiego naturalnego wzniesienia nie było, poradzić sobie można zakładaniem kilku rabatów. Gdy ogródek jest tylko 3-morgowy, musi być koniecznie ⅛ morga przeznaczona na remizę, a pozostałą przestrzeń należy obsiewać rozmaitemi zbożami tak, aby na tej uprawnej przestrzeni przez cały rok, z wyjątkiem zimy, znalazły zające wszystko, co im do pożywienia jest potrzebnem".

„Do ogródka przeznaczone zające powinne być młode, 3-miesięczne, gdyż te łatwiej się przyzwyczają; jeżeli się starsze zające wpuszcza, to może się to stać tylko wtedy, jeżeli w zajęczarni znajduje się remiza; jeżeli remizy nie ma, niepokoją się zające zbytecznie, biegają ustawicznie i wydeptują prawie ścieżki w około ogrodzenia; ginie ich wtedy zwykle znaczna część. W każdym razie potrzeba ze 3 miesiące, aby się zające uspokoiły zupełnie i poczęły się mnożyć. Jeżeli się więc wpuszcza stare zające, osobliwie do zajęczarni o małych rozmiarach, nie należy wymagać, aby już po miesiącu miały młode; rezultat będzie dobry, gdy to po trzech miesiącach nastąpi. Woda nie jest potrzebną, gdy zające mieć będą zieloną paszę, której w zajęczarni właściwie nigdy braknąć nie powinno. Zawsze jednak lepiej jest, gdy wody nie brak, obecność tejże konieczną staje się wtedy, gdy z zajęczarnią połączona jest bażantarnia". Zalecałem dawniej dla 10 samic przeznaczać 2 gachy, byłoby to wystarczające, gdyby wszystkie gachy równie dobrze do rozpłodu się nadawały. Gdy tak jednakże nie jest, radzę lepiej użyć trzech gachów, a gdyby się okazało później, że ich jest za wiele, można zawsze jednego odstrzelić".

W „Wiener Jagdzeitung" z roku 1873 znajduje się ciekawe sprawozdanie o rezultatach, osiągniętych przez założenie zajęczarni w Prinkenau w dolnym Szląsku:

„Na południowym stoku znaczniejszego pagórka, w okolicy zresztą płaskiej, wytyczono przestrzeń 3-morgową na gruncie suchym i lekkim, celem założenia zajęczarni. Założoną ona została według znanych prawideł Hartunga i tylko w jednym punkcie od nich odstąpiono. Podczas gdy Hartung zaleca, aby pręty płotu wspierały się dolnymi końcami na cegłach zagłębionych w ziemi, użytą tu została, celem lepszego powstrzymania drapieżców, 2-stopowa deska, położona na cegłach, na tej desce dopiero wyprowadzono płot, naturalnie o 2 stopy niższy. W zajęczarni założono 3 remizy: jedna sosnowa ze sadzonek, z bryłami

ziemi, dwie drugie z mięszaniny głogu, jałowca i szczodrzeńca. Do uprawy pól użyto bulwy *(topinambus)*, żyta świętojańskiego, owsa z koniczyną, łubinu żółtego, grochu, wyki i seradelli. Później część jedną zasiano rzepakiem, drugą żytem ozimem, a trzecią burakami. Część łubinu w jesieni nie zżęto, aby służyła zającom jako ochrona.

„Koszta ogrodzenia, nie licząc wartości materyałów, wraz z drutem, gwoździami, łapkami, żłobkami wynosiły 27 talarów, 13 srebrnych groszy i 9 feników; obsiew pólek, sadzenie remiz i różne inne roboty kosztowały 17 talarów, 7 srebrnych groszy i 3 feniki, razem tedy 144 talary, 21 srebrnych groszy. Z końcem Marca zajęczarnia była gotową, nie można było jednak niestety z powodu łagodnej, bezśnieżnej zimy schwytać więcej jak 3 zajęczyce, które wraz z jednym gachem w dniu 5. Kwietnia do ogrodu wpuszczone zostały. Zające rychło się przyzwyczaiły do nowego mieszkania i nie robiły nawet prób podkopać się pod ogrodzenie, zdarzyło się natomiast, że pierwszy wpuszczony gach umknął, przeskoczywszy płot $7\frac{1}{2}$-stopowy. Na szczęście był zaraz drugi pod ręką, który miejsce zbiega zajął i przez całe lato obowiązki temuż przeznaczone gorliwie wypełniał. W dniu 4. Listopada miały być zające celem sortowania wyłapane, jak to Hartung przepisuje Kosze już dłuższy czas przedtem były ustawione, a przez otwory w tychże wchodziły i wychodziły zające zupełnie swobodnie; ponieważ jednak pokazało się, że gonione zające przeskakiwały przez dachy szopek, zamknięto im tę drogę drągami, umieszczonymi na dachach. Pierwotnie zawieszono w otworach ruchome klapy z drutu w drewnianych ramach. Zające pędzone odchylały po krótkim namyśle klapy i właziły do koszów, wracały jednak w tej chwili nazad, odginając druty, które się za słabe okazały. Zmieniono więc klapy, używając według przepisu Hartunga drewienek, które były wprawdzie dostatecznie mocne, ale jako bardziej i zdaleka widoczne, odstraszały zające. Dopiero po dłuższych usiłowaniach udało się kilka zajęcy w kosze schwytać. Przy dobywaniu złapanych zajęcy pokazał się nowy brak. Kosze są za wysokie, aby sięgnąć w nie ręką i wydostać zająca. Z drugiej strony są znów tak wąskie, że człowiek, który do kosza wlezie, nie może się swobodnie poruszać. Najtrudniej zaś jest zające, które się w rogi wciskają, bez uszkodzenia przytrzymać i wydobywać na zewnątrz. Ta też część metody Hartunga koniecznie wymaga ulepszeń; przy najbliższem sortowaniu próbować się będzie umieszczania w otworach kosza łapek na tchórze. W ten sposób złapie się naturalnie tylko mało naraz zajęcy i potrzeba dla tych, które nadal w zajęczarni pozostać mają, przeznaczyć osobną tymczasową zagrodę w zajęczarni. Natomiast zyskuje się pewność, że się zając zbytecznem gonieniem nie zmęczy i nie uszkodzi".

Dyrektor lasów Gödde pisze w „*Die Jagd und ihr Betrieb in Deutschland*": „Zajęczarnie są w zasadzie dobre i zdołają zniszczony zwierzostan zajęcy napowrót poprawić. W wykonaniu jednak, a mianowicie pod względem technicznym, popełniały się i popełniają jeszcze zawsze błędy. Przyczyna złego leży głównie w tem, że przestrzeń użyta na zajęczarnie była za małą, skutkiem czego nie mają zające zamknięte dość ruchu, tyle im do utrzymania zdrowia potrzebnego. Chcąc zające hodować w miejscu zamkniętem, ściśle ogrodzonem, potrzeba na to przeznaczyć nie tylko przestrzeń 8 do 10 hektarów, ale postarać się i o to, aby na tej przestrzeni rosły trawy, konicz, rzepak, żyto, kartofle i t. d. Następnie mylnem jest zupełnie przypuszczenie, jakoby zając nigdy wody nie potrzebował. Na wolności nie tak łatwo zdarza się sposobność widzenia zajęcy pijących wodę, w zimie zaspokajają one prognienie śniegiem, w lecie rosą i soczystemi ziołami. Że jednak zające wodę piją, jest rzeczą udowodnioną przez dość liczne spostrzeżenia. Zaleca się więc zakładanie zajęczarni w pobliżu wód płynących, co nie nastręcza trudności, o ile że w każdym większym rewirze znajduje się strumyczek, źródło i t. p. ku temu celowi odpowiednie. Zakładanie zajęczarni na przestrzeni tylko trzech morgów magdeburskich, nie można nazwać inaczej, jak zabawką myśliwską. Nie wiele jednak właścicieli zgodzi się ofiarować na ten cel 8 do 10 hektarów, aby jednak tę przestrzeń jak najlepiej wyzyskać, zaleca się połączyć ze zajęczarnią chów bażantów. Sztuczne bażantarnie muszą być ogrodzone, a ogrodzenie to im gęstsze i wyższe, tem lepsze; w praktyce jednak są to zwykle dość luźne płoty, które wprawdzie większe drapieżce powstrzymują, dla zajęczarni jednak są bez wartości. Ponieważ jednak i te liche płoty kosztują, a słupów zawsze tyle wyjdzie, ile na dobre ogrodzenie, jak ono dla zajęczarni jest potrzebne, to chodzi jedynie o większą ilość grodziwa i większą robotę. Gdy się połączy chów zajęcy z bażantarnią, staną się zbytecznemi owe skomplikowane przyrządy i środki, które w odosobnionych zajęczarniach są niezbędne, gdyż bażantarnia wymaga ustawicznego dozoru osobnego człowieka, który w swoim własnym interesie starać się będzie o to, aby zwierzęta drapieżne wstępu do bażantarni nie miały. Płoty t. z. tykowe plotą się z prętów laskowych, albo z gałęzi świerkowych, lub jodłowych, 2·10 m. b. długości tak, że przez dwurazowe zgięcie między łatami dadzą płot 2 m. b. wysoki. Słupy najlepsze dębowe, łaty zaś z tyk sosnowych, lnb świerkowych, kłutych lub oprawionych. Ażeby zginanie lub wplatanie chrustu lub grodziwa nie utrudniać, nie bierze się grubszych prętów jak 3-cm. w środku, których to prętów od słupa do słupa, a więc na $3\frac{1}{2}$ m. bieżących 2 kopy wychodzi, t. j. mniej więcej 34 sztuk na metr bieżący. Najtrwalsze pręty są z gałęzi starych świerków i jodeł. Wierzchem płotu dają się jeszcze dwa druty, przez co wysokość ogrodzenia bez znaczniejszych kosztów się zwiększy".

„Jeżeli grodziwo zagłębi się w ziemię na 4—6 cm, nie potrzebne są już spodem cegły tem więcej, że drapieżce starają się dostać do wnętrza przez otwarte łapki, które zawsze mają być otwarte i co 30 m. o ustawione. Naokoło ogrodzenia robi się ścieżka tuż przy płocie na 1 metr szeroka 3—4 cm. głęboka. Łapki, o których powyżej była mowa, wystają na zewnątrz 10—15 cm., a od wnętrza zaopatrzone są drucianą siatką. Ścieżka winna być zawsze czysto utrzymaną z gałęzi i t. d. przez co chętnie drapieżce po takowej krążą szukając otworu, aby się do wnętrza wcisnąć. Po drodze znajdują łapki i chwytają się chcąc się ich otworem do środka ogrodu dostać. Największą trudność przedstawia chwytanie zajęcy celem sortowania i sprowadzenia odpowiedniego stosunku płci t. j. 1 samca na 6 samic. Używają obecnie ku temu celowi przenośnych 2 m. wysokich płotów podwójnych, opatrzonych zapadającemi dzwiczkami, które się ustawiają równolegle do siebie w odstępie 30 centymetrowym, Na większej jednak przestrzeni nie zawsze mieć można tyle płotów i nie pozostaje nic innego, jak wpędzić zające gwałtem na mniejszą przestrzeń n. p. do gąszczu remizy i wyłapać sie-

*

ciami. Nie ulega wątpliwości, że biorąc się do dzieła ze znajomością rzeczy, można chować z pożytkiem na jednej przestrzeni zające i bażanty, przez co koszta się zmniejszą, a przez lepsze ogrodzenie i dozór tak bażantarnia jak i zajęczarnia lepiej prosperować będą“.

Oto mniejwięcej wszystko, co się da powiedzieć o zajęczarniach. Z przytoczonych opisów snadnie wyrobi sobie szanowny czytelnik własny sąd w tej sprawie. U nas podobno niema ani jednej zajęczarni, gdyż zrazili się ci, którzy takowe pozakładali, pierwszem niepowodzeniem. Że jednak niemcy mają zajęczarnie i te odpowiadają swemu celowi, więc zdaje się, że i u nas mogłyby one mieć powodzenie, gdyby się kto umiejętnie i wytrwale chciał zabrać do dzieła.

Rozdział o polowaniu zostawiłem na koniec, powodując się przekonaniem, że myśliwy przedewszystkiem powinnien podnieść swój zwierzostan, zanim zechce używać rozkoszy polowania. Walczyć mi tu przychodzi z brakiem wyrazów polskich, dla tego nie czując się na siłach tworzenia nowych, użyję niemieckich, jak je znajduję w dziełach Thüngena, Diezla, Göddego, Winkella i innych, z których to dzieł robiłem wypiski do niniejszej monografii.

Rozmaite są sposoby polowania na zające:

1. Zasiadki (na wychodnego), 2. na wydeptanego, 3. z nagonką, 4. z gończymi, 5. z chartami, 6. forsowanie koniem (bugsiren), 7. forsowanie psami.

1. Zasiady czyli na wychodnego. Ten rodzaj polowania odbywać się może przez cały czas trwania sezonu, jednak nie w każdej porze jest równie pewnym. Można urządzać zasiady na przesmykach upatrzonych, którymi wychodzi zając na żer z lasu lub wraca do dnia, albo też na nęciskach. Co do weksli — to takowe na parę tygodni przed otwarciem polowania, powinnien myśliwy dobrze poznać zasiadając przed zachodem słońca pod lasem, uważając, któremi ścieżkami zające na żer wychodzą, a któremi do dnia wracają do lasu. Na tych to ścieżkach zasiada myśliwy ukryty pod lasem $^1/_2$ godziny przed zachodem lub rano przed wschodem słońca. We wrześniu wychodzą zające wcześnie, poczem co raz później aż do śniegu i mrozów, które zmuszają zgłodniałego zająca wcześniej ruszyć z miesjca.

W Listopadzie pewniejsze zasiady dodnia, gdyż często dopiero dobrze już za dnia zające z żeru wracają. Nie mając możności wywiedzenia się o wekslach, zasiadać potrzeba pod lasem na koniczach, oziminach i t. p., na których widać, że są przez zające spasane. Chcąc się uwolnić od komarów, dobrze ręce i twarz umyć odwarem piołunu. Na polach potrzeba w pobliżu kapust i buraków, jeśli nie ma jakiego krzewu, drzewa i t. p., kopać jamy lub wcześnie obmyślić jakąś zasłonę. Przed spadnięciem jednak śniegów nie pewne to polowania. Gdy śniegi okryją ziemię i mrozy pocisną, uważać trzeba, gdzie zające na oziminy wychodzą i tamże zasiadać. Osobliwie pewny to sposób na rzepakiem zasianem polu, jeżeli w okolicy w ogóle mało go uprawiają, ściągają się bowiem zające po swój ulubiony żer ze wszech stron. Rozumie się, że na otwartem polu musi być wybrana jama tak, aby się myśliwy mógł ukryć. Spód tej jamy wyściela się słomą celem zabezpieczenia nóg od przemarznięcia, z ziemi zaś wydobytej formuje się na około jamy nasyp tak, aby myśliwy ukryty w jamie tylko stojąc miał swobodny strzał, a zresztą był cały zasłonięty.

Ponieważ w księżycowych nocach wypada nieraz myśliwemu przesiedzieć i kilka godzin, potrzeba zaopatrzyć jamę dobrze w słomę aby nie przemarznąć. W okolicach, gdzie mało zajęcy i zasiadki pod lasem wątpliwe, radzić sobie może myśliwy przez ustawienie straszaków. W tym celu na pewnej długości stawia się cokolwiek w oddaleniu od brzegu lasu na polu co kilkanaście kroków opatrzone białym papierem u góry kołki. W tem miejscu, gdzie myśliwy ma obrać stanowisko, nie stawia się kołków n. p. na długości 100 kroków. Zające przestraszone niezwykłym widokiem białego szeleszczącego papieru na kołkach, starają się je ominąć i zwykle wychodzą w pole luką, w której zasiadł myśliwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# DZIEŃ LISOWCZYKA.

PRZEZ

ZYGMUNTA PIETRUSKIEGO.

> Jam pieśniarz nie uczony, jam nie wieszcz z Parnasu,
> Muzyką mi grzmot strzału, a spiewem szum lasu.

## OBRAZ I.

### Pobudka.

Dzień już nadchodzi na niebios lazurze,
Pierwsze dnia brzaski złociły się w górze,
A w okół lasy pod cieniów zasłoną,
Choć dzień się zbliża, jeszcze w mroku toną.
Wśród dzikich borów w półświetle, w półcieniu,
Jest dom myśliwski na lekkiem wzniesieniu,
Dom ten obszerny, lecz prosty z pozoru,
Prosty strukturą, bez sztuki ni wzoru,
Gdyby był dziwnym Opatrzności losem
Niemców własnością — zwałby się „Jagdschlossem“;
U nas rak rakiem, rybą zwie się ryba,
A to Lisowic łowiecka sadyba.
Z tego to domu jesiennym porankiem
Wyszedł myśliwy i stanął przed gankiem:
W zwykłej myśliwskiej przyodzian odzieży,
Z boku kordelas, trąbka w dłoni leży,
(Łatwo w nim poznać, że to rewirowy,
Który wychodzi dać sygnał na łowy).
Postąpił nieco, trąbką sygnał krótki
Dał, cośby na kształt wojskowej pobudki,
Przestał — znów zadął — dźwięczne rogów głosy
Brzmią pośród borów i biją w niebiosy.

To ranny sygnał! Tak trąbka myśliwa
Codzień pogonkę do roboty wzywa,
A na jej odgłos dzielnych malców rzesza
Z radośnem sercem do łowca pospiesza.
Lecz prócz nagonki, jeszcze innych ludzi
Trąbka ta ze snu głębokiego budzi,
Bo nawpół senne zaraz ją posłyszy
Baczne i czujne ucho Towarzyszy.
Jak żołnierz drzemiąc w obożnej ustroni
Usłyszy nagle krzyk straży: „do broni“!
Tak z łoża swego spoczynku i wczasów
Powstał Lisowczyk, pan borów i lasów.
I nie tak student się budzi weselny,
Gdy dzień spoczynku się zbliża niedzielny,
Nie takiem szczęściem pierś żeglarza dyszy,
Gdy wiatr pomyślny się zbudzi po ciszy,
Nie tyle pielgrzym cieszy się znużony,
Kiedy się zbliża w zamieszkane strony;
Jak się raduje tu dusza łowiecka
Szczerą rozkoszą, niby dusza dziecka.
Szybko Lisowczyk wdziewa swe ubranie,
A myśli jego już na polowanie
Dawno odbiegły — i wśród dzikich kniei
Bawią się ciesząc nadzieją nadziei,
A gdy tę chwilę przyspieszyć już żąda,
Broń zaufaną starannie ogląda,
Lecz nim wyruszy z łowiecką wyprawą,
Idzie do sali posilić się kawą.
Jakkolwiek w naszym lisowickim domu
Skromnie jest wszędzie i pewnie nikomu
Na myśl nie przyjdzie, że się tu kochamy
W zbytku, wystawie i że przystrajamy
Nasze mieszkanie — ktobądź bowiem spojrzysz,
Prócz nieodzownych, żadnych tu nie dojrzysz
Sprzętów zbytecznych — łóżka, krzesła białe,
Na tem się kończy urządzenie całe,
Wyjątek jednak tworzy jedna sala,
Co starannością się pewną zachwala,
Dosyć obszerna, jest razem jadalną,
I fumoirem i salą bawialną.
Tu wszystkie ściany są gęsto okryte
Łupami, które w tych kniejach zdobyte:
Więc najpierw widne w obu końcach sali,
Patrzą na siebie z nieznacznej oddali
Dwie niedźwiedzice, obiedwie w postawie
Groźnej, wzniesionej tak, że rzekłbyś prawie,
Iż jeszcze żyją, jedna w łapach trzyma
Sporego grabka, niby kij olbrzyma,
Na którym w górze lampa umieszczona
Świeci wieczorem, druga zaś ramiona
Wprzód wyciągnęła, a na zadzie siedzi,
Wrzkomo się skarży na swój los niedźwiedzi.
A dalej znowu wszystkie w koło ściany
Zdobi myśliwski łup porozwieszany:
Dziewięć odyńców srogich kłami błyska,
Ówdzie ryś z drzewa na zdobycz się ciska.
Tam znów dwa żbiki — zda się, że co chwila
Na dół zeskoczą — obok się wychyla
Para łbów wilczych, co długo w Waldynie
Wielkie nam szkody robiły w zwierzynie;
Dalej wypchane ptactwo rozmaite.
Na jednej ścianie wysterczą przybite
Rozliczne rogi — niektóre odmienne —
Z piękną koroną i mylkusy cenne.
Pod wszystkiem napis, co do tego zmierza,
By wiedzieć, kiedy i kto zabił zwierza;
Słowem, co żyje, co chodzi, czy lata,
Wszystko przysłało swego deputata
Tak, iż kto nie wie, byłby pewny tego,
Że to Muzeum lub Arka Noego.

---

## OBRAZ II.

### Śniadanie.

Śniadania chwila w Lisowickich dziejach
Dużo piękniejsza niźli w innych kniejach
I tyle w sobie uroku jednoczy,
Że z drżącem sercem każden ku niej kroczy.
Pochwali zastęp mnie smakoszów cały,
Że umiem cenić kuchenne specyały
I że, nie tracąc opowieści wątka
Mam także słówko i dla spraw żołądka —
Przygani może mi łowiec poważny,
Żem dla drobnostki tej nazbyt uważny
I że miast zająć się już polowaniem,
Ja się rozwodzę nad czem — nad śniadaniem!
Pochwały tutaj równie jak nagany
Udzieli tylko ktoś nieobeznany
Ze zwyczajami — boć śniadanie skromne:
Kawa i bułka — więc inne przytomne
Chwile rozkoszy mam tutaj na myśli,
Co odtwarzając wyobraźnia kreśli,
Śniadania bowiem ta króciuchna chwila
Losów łowieckich zasłonę odchyla,
Bo los rozstrzyga tutaj na dzień cały,
Co komu fata w księgach zapisały.
A rozdzielając stanowiska w boru,
Czasem da gorsze, a czasem z pozoru
Wybornem miejscem myśliwca obdzieli,
Ten już się cieszy — potem ani strzeli;
Więc zdania łowców dzielą się w połowę,
Ten woli skrajne, ten znowu środkowe,
To tylko pewne, że kto ma pagata, *)
Ten już pisarza wysyła do kata.
Mój Boże! czyż to jego skutek winy
I na pagatach czyliż brak zwierzyny?
Gdybym nie obraz kreślił lecz kroniki,
Tobym wyliczył tutaj wszystkie dziki,
Rysie, niedźwiedzie, co szły gdzieś na flanki,
Bo niezbadane wyroki Sylwanki —
I przyznać musisz łowcze miły bracie,
Że można strzelić choćby na pagacie!
Ale nie wierzą, każdy pilnie waży,
Jaki los numer wyciągnąć mu zdarzy.
Powstaje pisarz i do kapelusza
Gałki odlicza, lekko je porusza
I jak chce święte prawo gościnności,
Najpierw z losami zbliża się do gości,
A potem innych obchodzi koleją,
Tu darząc smutkiem, a tam znów nadzieją.

---

*) Pagat — pierwszy skrajny numer stanowiska.

Różne są, różne ciągnienia sposoby,
Co rzeczą gustu odnośnej osoby:
Jeden wyciągnie, zaraz rzuci okiem,
Co mu los zdarzył; drugi zaś z głębokiem
Milczeniem gałkę starannie ukrywa,
Rzekłbyś zły numer zmienić się spodziewa;
Ten jakieś gusła robi tajemnicze
I w tył za siebie obraca oblicze;
Ów jakieś słowa niepojęte szepce,
Wrzkomo coś mówi, coś językiem chlepce,
Może się modli, ale nie wiem zgoła
Czyli Huberta, czy Nemroda woła
Ku pomocy. —
Jeden jest tylko pośród wszystkich łowców,
Co nie obawia się losu manowców,
Inni wzruszeni, jak w przededniu wojny,
On tylko czeka sam jeden spokojny
I kłęby dymu wyciąga z cybucha,
To raz połyka, to przed siebie dmucha.
On Wielkim Mistrzem, łowów władzę dzierży,
Więc gdy się zastęp jak niebądź rozszerzy,
Musi stać w środku, by w lewo czy w prawo
Wydał rozkazy, kierując wyprawą —
A tak w pośrodku mając stanowisko
Obu zarówno jest skrzydeł on blisko.
Jak wódz przezorny, co bitwą dowodzi,
Na wynioślejszy pagórek wychodzi,
Aby w czas zdołał ubiec wroga razy,
I w czas zbawienne wydawać rozkazy —
Tak i Mistrz Wielki łowami kieruje
Stojąc wciąż w środku, zatem nie losuje.
Skończona wreszcie chwila tajemnicza.
I gdybyś spojrzał, z każdego oblicza,
Z oczu, z wejrzenia i z twarzy wyrazu,
Co mu los zdarzył, poznałbyś od razu:
Im kto weselszy, tem bliżej jest środka,
Twarz niby chmurna, kogo pagat spotka,
Albo ostatni, — ale gdybyś wejrzał
Aż w głębię duszy, gdybyś myśli przejrzał,
Poznałbyś łacno, że każdy radośnie
Na łowy spieszy jako ptak ku wiośnie
Bo nigdy łowiec nie traci nadziei,
Jak długo jeszcze starczy dla nas kniei
I nigdy także tu się nie zniechęca,
Bo w nim wre zapał, co serce uświęca
A zawsze w boru tą nadzieją żyje,
Że jeśli nie on, to drugi zabije,
To wspólna sprawa. — W tem trąbka zagrała
I jak mąż jeden drużyna powstała;
Wielki Mistrz skinął: „Mamy czas Panowie“!
To znane hasło, a w tem jednem słowie
Wszystko zawarte, — to znak wsiadanego,
Więc każdy spieszy do pokoju swego
Po broń, ładunki — i wnet w okamgnieniu
Wszyscy wychodzą w pełnem uzbrojeniu.

---

## OBRAZ III.

### Wyjazd.

Jeśli w myśliwstwie są chwile zwątpienia,
Gdzie łowiec bliski prawie zniechęcenia,
Jeżeli czasem są przykre zawody,
Gdy los nie daje pragnionej nagrody,
To chwila taka jako mara minie,
Aż się gdzieś całkiem w przeszłości rozpłynie
I pewnie nigdy nie przyjdzie do głowy
W uroczej chwili wyjazdu na łowy,
Bo łowiec wtedy radośny jak dziecię,
Pogodnem okiem spogląda po świecie,
Wesoły, ufny i pełen swobody,
Jak obraz szczęścia w wyobraźni młodej,
I wtedy patrząc w tę prastarą knieję
Rozliczne w sercu swem żywi nadzieje,
A w tejże chwili wątpliwość w spotkanie
Pewnie w niczyjej myśli nie powstanie,
Bo kędy spojrzy, czy w góry głębokie,
Co śnieżnym pasem się piętrzą wysokie,
Czy w czarne, gęste bory zwróci oczy,
Wszędzie rój wspomnień do myśli się tłoczy:
To, co sam doznał, co inni mówili,
Wszystko mu na myśl powraca w tej chwili
I widzi wszystko w pamięci tak jaśnie,
Jakby to było dziś lub wczoraj właśnie,
I w różnobarwnych tych myśli gonitwie
Aż czasem sercem się zgubi w modlitwie:
„Usłysz mnie usłysz, ty łowów Patronie,
„Święty Hubercie! Wszak ogień co płonie
„W głębi mej duszy, Ty sam mi go dałeś,
„Bym doznał uciech, których Ty doznałeś,
„O daj mi poznać Twoje zmiłowanie,
„Daj mi szczęśliwe ze zwierzem spotkanie,
„A potem spraw też, niech dzikiego zwierza
„Kula z mej ręki śmiertelnie uderza!
„A tym mym bliźnim, coś nie dał poznania
„Słusznie rozkoszy cenić polowania,
„Daj raz przed śmiercią taką jedną chwilę
„Jakich z Twej łaski jam już doznał tyle!!“
Teraz myśl szybka, jakby ptak skrzydlaty,
Nagle się w inne przerzuciła światy,
Bo wóz z gościńca na błotniste tory
Skręcił na prawo między czarne bory;
Więc spojrzał w okół na odwieczne lasy
I wspominając ubiegłe już czasy
Wszczęła się żywa myśliwska gawędka,
Bo droga długa, a jazda nie prędka;
A trzeba jechać aż hen pod Taniawę,
Dokąd wysłano już całą obławę.
Na lewo szumią „Ciemne Uroczyska“,
W prawo „Grabniki“, przed tobą „Zamczyska“;
Wyniosła knieja i poważna zgoła,
Do gotyckiego podobna kościoła.
Gdzie ostre łuki tworzą świerków szczyty,
A zaś sklepienia niebiosów błękity.
Wóz ciągle bieżąc już Zamczyska mija
I inny obraz się oczom rozwija:
Najpierwszą rzeczą, co w oczy tu wpada,
To Pöckersdorfu niemiecka osada:
Gniazdo zbójeckie, co żyjąc z rozboju,
Opływa w wszystko bez pracy, bez znoju,
Każdy kłusownik, ledwo się narodzi,
A już do lasu kraść zwierzynę chodzi
I wszystkie nasze ustawy niemylne
Dla kłusowników, jak zawsze, bezsilne,

Więc mając wioskę leżącą wśród boru,
Szydzą z nakazu i szydzą z nadzoru
I przez rok cały polują ukradkiem —
A trudno schwycić, chyba że przypadkiem.
Ale myśl łowca już naprzód odbiegła,
Kędy się czerni „Waldyna“ rozległa,
Bo tam Parandziej już z objazdu wrócił,
Wie, czy zwierz leży, czyli bór porzucił
I poszedł w góry — bo on w tropów tłumie
Na rannej rosie każdy poznać umie,
I nigdy jeszcze w swem zdaniu nie zbłądził,
Nigdy fałszywie tropu nie osądził.
On, jak Indjanin, swą pracą zajęty,
Jesienną porą widzi listek zgięty,
Spojrzał, już poznał, więc długo nie bada,
Wie czy odyniec, czyli przeszły stada,
Wie czyli niedźwiedź odznaczył trop w błocie,
Wie czyli poszedł, czy też został w miocie.
O Parandzi-ju! Mistrzu tropicielu!
Porównych tobie na świecie nie wielu,
„Bo ze słów twoich, jak ze słów rycerza
„Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza!“ *)
Skoro Parandziej pierwszy wóz już zoczył,
Zaraz pospiesznie ku niemu poskoczył,
Wóz się zatrzymał, Wielki Mistrz go bada,
On na pytania cicho odpowiada,
Coś jakby tropy wskazuje po ziemi,
To znowu kiwa rękami drżącemi;
A łowcy zdala, co na wozach siedzą,
Radziby zgadnąć, ale nic nie wiedzą,
Jaki Jan raport Mistrzowi tam głosi,
Bo mówią cicho, a wiatr głos odnosi,
I tylko z Mistrza oblicza wyrazu,
Że dobre wieści, poznali od razu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Te dwa wiersze z nieznaczną odmianą wyjęte są z „Grażyny“ A. Mickiewicza.

# O ROGACZU

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

Zaiste powtarzane nieustannie przez nas opisy zajęcy i sarn stać się zdają u granicy śmieszności, mogłyby nawet wzbudzić zniechęcenie u czytelników. Na pierwszy rzut oka wydają się jałowymi i oklepanymi przedmiotami, zgłębiwszy wszakże wyniki badań, widzimy w nich istotne odkrycia. Jako dowód służyć może zajmujący opis zająca przez p. Remiszewskiego, dający nam niektóre szczegóły nieznane z życia tego rozpowszechnionego zwierzęcia. Niejeden z czytelników powie: co nowego można o rogaczu napisać, będzie to dowodem naszej zarozumiałości, spuszczającej zasłonę na tajniki przyrody, będzie również tamą dla dalszych badań. Wstyd rozsiada się na obliczu badacza, gdy w otaczającym go świecie zwierzęcym odkrywa po tylu wiekach badań, nieznane przymioty, odmiany, zwyczaje i szczegóły życia, niekiedy nawet składowe części ssaków, ich choroby i t. d. Porost rogów i przyczyny stanu tychże w mylnikach, do tej chwili ściśle nie są oznaczone, a są to ważne szczegóły dla zoologów i myśliwych, widocznie potrzeba nam długich badań i sumiennych, aby wykryć prawdę. Nie jednego uczonego przyrodnika z potężnym umysłem, po długoletniem życiu i mozolnej pracy trapiły nad grobem miriady zwątpień, niepewności, bezpodstawnych teorii głoszonych; walczył, ale osłabiony zwyciężyć nie mógł, błąd za błędem wkradał się do nauki i on pomimo swej woli przekazał potomności szatańską spuściznę niepewności i fałszu. Nasze pobieżne badania przy zarozumiałości, pospiech gorączkowy, stawianie pewników bez rzeczywistych podstaw, oto co nam utrudnia zgłębienie nauk przyrodniczych, owe teorje znikają jak spadające gwiazdy, zostawiając ciemnicę po sobie.

Po półwiekowem badaniu tego zwierzęcego świata, którego całości umysł ludzki objąć nie może, tem mniej zgłębić jego szczegółów, przedstawiają się zagadkowe zjawiska, zupełnie nieznane, odkrycia zadające kłam głoszonym teorjom, a badacz tonie w powstających wątpliwościach. Cóż za zdanie wyrobić sobie możemy o stopniu nauki łowiectwa, gdy po tylu wiekach badań, sprzeczają się myśliwi nad terminem rui sarn? *). Cóż powiedzieć o tych nowych odkryciach mikrobów i bakterii, zaiste zdumiewających, ongi niemal nieznanych. Czytając zajmujące sprawozdanie o badaniu tych mikroskopicznych owadów, myśleć można, że wszystko złe fizyczne ma swe źródło w tych mikrobach. Niewątpliwie bakterje wyrządzają w ludziach i w zwierzętach straszliwe spustoszenia, wszakże dziś te owady obsiadły do tego stopnia badawcze umysły, badane są z taką gorączkowością i pospiechem, że znowu złatwością błędne przypuszczenia w teorje sformułowane, potomności przekazane zostaną.

Przez długi czas prawda filtrować się będzie przez badania dalsze, a postawiona groza trujących owadów wymagać będzie tępienia tychże, więc o to teraz głosić wypada prośbę, aby z wrogami nie truto ofiar. Ten świat zapełniony nieobliczonemi żyjątkami, żyjący od początku świata pod ciężką zasłoną, potwierdza słowo umierającego niemieckiego mędrca: „Teraz dopiero wiem, że nic nie wiem“. My zaś z pokorą powtarzać obowiązani to wyznanie, iż należy w pracy badawczej nie ustawać w przekonaniu, że jeden Bóg jest wszechwiedny.

*) Im dłużej badam ruję sarn, tem więcej się ustala moje przekonanie o rui zimowej począwszy od końca Października. Ileż to razy patrzałem na leżące sarny nad miarę skokami rogaczy zmęczone, a nad niemi stały rogacze usiłujące je zmusić do powstania.

Starałem się co roku wystrzeliwać rogacze i często widywałem 15 i 20 kóz bez rogacza w późnej wiośnie, a młodych sarniąt miewam znaczną ilość. Dodać tu muszę, że rogacze do mego sarniego pensionatu żeńskiego dopiero pod jesień ściągają.

Porzuciwszy tajemniczo żyjące bakterje, trapiące dziś całą ludzkość, przedstawię towarzyszom myśliwskim niepospolitą niespodziankę, wszakże nie na podstawie mej własnej zasługi.

Od dziada pradziada spuścizną przekazano nam, że rożki bez odnóg są cechą tegorocznego rogacza nazwanego szpiczakiem od niemieckiego spiser, który zrzuciwsy pierwsze rogi, w drugim roku dostaje boczne wyrostki rogowe. Badacze niemieccy od tej teorii nie odstępowali i dopiero dziś ten odwieczny pewnik chwiać się poczyna. Lat temu pięć czy sześć, znakomity frenolog oddający się studiom kranioskopii, posiadający olbrzymi zbiór czaszek i rogów, dyrektor sławionej na kontynencie akademii dla leśników w Tarancie pod Drezdnem, rzucił między nas popłoch swem odkryciem i zaostrzył naszą ciekawość. Otoż on twierdzi, że szpiczaków nie ma wcale, że tegoroczny sarniuk zrzuca rożki swe ledwie wyrośnięte i sierścią okryte w zimie i otrzymuje z odnogami rogi w późnej wiośnie lub w lecie i że rogacz ze szpiczastymi rogami jest mylnikiem (Kümmerer). Niezmiernie zaciekawiony oraz poniżony, począłem badać, nieudzielając wiadomości naszej publiczności o tem odkryciu zaiste spóźnionem. Sarniuczkowi poczynają wyrastać rożki około końca Listopada i Grudnia, lecz leniwo i niewidocznie, zdawałoby się, że ten porost wcale nie postępuje. W tych ledwie widzialnych rożkach są znaczne różnice i stopniowania, na podstawie wieku, gdyż sarna rzuca od połowy Kwietnia do końca Lipca, a jak to już w Łowcu nadmieniłem, dwa razy w życiu widziałem w Marcu nowo naradzone sarniątko. Nie mam odwagi twierdzić stanowczo, że wyjątkowo sarna i w Sierpniu rzuca młode, wszakże krocie razy widywałem sarniątko na słonkach niemal srokate, a zatem nie starsze nad dwa miesiące, lub też malutkie na śniegach. Rożki te ku nowemu rokowi widocznie dokuczają rogaczykowi, więc je trze i tłucze o pniaki, pnie i świerkowe lub jodłowe pędy, czem znaczne szkody wyrządza. W Styczniu i w Lutym widujemy rożki już do połowy z sierści ogołocone, widocznie poobtłukane, pogniecione, niekiedy wykrzywione i w najdziwaczniejszych kształtach, dowód to oczywisty, że ich się chce pozbyć. Wiele razy miałem podobne rożki w ręku ruszające się, a zatem przygotowane do zrzucenia, a nader często padający po strzale sarniuk takowe odbił o ziemię i podniosłem go z jednym rożkiem. Dalej twierdzić mogę śmiało o chowanych rogaczykach, dostających po skończonym roku już rogi z odnogami, a szpisera z prostymi, szpiczastymi rogami nigdy nie wychowywałem i nigdzie w niewoli nie widziałem, a chowałem ich nie mało. Niewątpliwie bywają szpiczaste ostre rogi, lecz one rosną na głowach mylników, bywają różnej grubości i długości, niekiedy ciemnej barwy, co dowodzi noszenia tych samych rogów przez najmniej dwa lata, bywają też z mniejszemi i większemi obrączkami korali, istne to dowody rogów ze starych rogaczów, o czem się niejednokrotnie przekonałem na żywych i zabitych, oraz na rogach po zbiorach widzianych. Nie było więc, niema i nie będzie szpiserów, a kilkowiekowe doświadczenie spoczywało na błędnej teorii, nie praktycznie badanej.

Treść tej ramotki, nie stawia tego spostrzeżenia jako aksiomatu nie do obalenia, ona ma być ostrogą dla myśliwych do badań i poszukiwań, a sumienna w tym kierunku praca wskaże prawdę. W szczególności zwracam uwagę na rożki w Marcu i w Kwietniu, w tej porze albo już odpadły, albo też są ruchome. Wypowiedziawszy me zdanie na podstawie spostrzeżeń, usilnie proszę towarzyszów, aby skutki swych badań w „Łowcu“ umieszczali i dopomagali do zdjęcia zasłony z rodu sarniego, dla nas nieprzejrzanej, pomimo że sarny w naszym kraju od lat kilkunastu licznie rozmnożyły się i niemal do ogrodów naszych dochodzą.

Olejów, 22. Stycznia 1887.

---

# Kilka słów o myśliwstwie dawnem i teraźniejszem.

Przez

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Jak już wyżej nadmieniłem, zastąpiono później ową mniej skuteczną broń (łuki), bronią palną, czyli jak ją dziś nazwano bronią ognistą. W łowiectwie jawiła się ta zmiana nader powolnie, szczególnie u nas na Litwie lub w leśnych zapadłych i górskich okolicach. Z niechęcią i niewiarą patrzano na tę nową broń i po dawnemu polowano na grubego zwierza nie inaczej, jak z białą bronią, a na mniejszego używano łuku. Nowa broń swym ciężkim wagomiarem nie była przydatną do szybkiego złożenia się i wzięcia na cel szybkonogiej zwierzyny, jak: jeleń, łoś, sarna, nie mówiąc już o zającu i zwierzynie skrzydlatej. Przytem proch był bardzo drogi, a śrótu wcale jeszcze nie znano. Rusznicę nabijano albo jedną dużą kulą, lub kilkoma mniejszemi, tak zwanemi grankulkami, albo sztofem czyli kawałkiem na zimno wyklepanego czyli jak mówiono, wyciągniętego ołowiu, lub drobno pokrajanym ołowiem, zwanym siekańcami. Strzał sztofem, kształtem podobnym nieco do dzisiejszych kul stożkowych, mógł być skutecznym chyba na bardzo bliską metę, a to z tej przyczyny, że z gładkiej, niegwintowanej lufy nietylko sztof niekształtny, ale nawet kula stożkowa zawsze na płask uderza, w skutek czego strzał staje się nieskutecznym, na daleką zaś odległość traci zupełnie siłę rzutu. Toż samo odnosi się do siekańca, strzał bliski straszny, dalszy ledwie kaleczy. Nawet po wynalezieniu śrótu zwykli byli przodkowie nasi nabijać swe garłacze siekańcem. „Oddaj się Bogu, gdy plunął śród wrogów przygarścią siekańca“.

Prochu używali mniej zamożni myśliwi tak zwanego leszczyńskiego „od wielkiego święta“ czyli na grubego zwierza, i to tylko na podsypkę. Proch, który fabrykowali

puszkarze (zwykle Niemcy) po zamkach magnackich, miał wiele wad, ścierano go zbytecznie, nie był ziarnisty, więc nierówno się zapalał, szarpał więc i tłukł ramiona i policzki niemiłosiernie, folował lufę rusznicy, i ostatecznie bił słabo. Dużo wody upłynęło, nim ulepszono broń myśliwską do tego stopnia, by mogła zastąpić łuki. Możni panowie poczęli pierwsi używać palnej broni lubo ciężkiej i nieprzykładnej, uboższa szlachta zagonowa po staremu borykała się z żubrem lub odyńcem, lub szła „w załebki“ z niedźwiedziem.

Zastosowanie broni palnej do łowiectwa wywołało znaczne w niém zmiany. Polowano zaciekle, jak dawniej, ale mniéj już narażano siebie na pazury, rogi lub kły dzikich zwierząt. Poznano, że człowiek przeznaczony wyższe spełniać posłannictwo, jak borykać się z leśnymi potworami dla dogodzenia dzikiej namiętności lub ambicyi. Z królów polskich pierwszy Stefan Batory wprowadził zwyczaj zwyciężania grubego zwierza bronią palną, a nie białą, która zawsze narażała na niebezpieczeństwo. Batory sam był namiętnym myśliwym, znał niebezpieczeństwa, na jakie się wystawiał myśliwy, polując w dawny sposób, toż go zaniechał, i odtąd bito zwierza z rusznicy, a dobijano oszczepem lub inną białą bronią tylko wtedy, gdy zwierz silnie postrzałem rażony, osaczony był przez złaję psów i to z konieczności, aby strzałem którego z psów nie dosięgnąć. Zwyczaj ten wprowadził Batory, sarkała na to szlachta, ale poddać się musiała jego woli. On też pierwszy, wspólnie z kanclerzem Janem Zamojskim podniósł głos przeciw turniejom — owemu zwykle morderczemu widowisku. Toż ostatnim był turniej w Polsce, mniej krwawy jak dawniej, odbyty na godach weselnych Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną. Zmiana ta w zwyczajach łowieckich, a najbardziej wyrugowanie turniejów, wywołały na razie burzę w szklance wody. Najwięcej malkontentów było między mniej możną szlachtą, nie tyle z powodu reformy łowiectwa, bo ono więcej polegało na samowoli i chyba przykład i przykaz rycerskiego króla wprowadzały zmianę, ale rugowanie turniejów oburzało najbardziéj rycerską podówczas szlachtę. Wiązały ją z turniejami: tradycya, popęd okazania zręczności, męstwa i siły w obec płci nadobnej, a był to zwyczaj przejęty od francuzkich, włoskich i niemieckich rycerzy. Ubogiej szlachcie zależało nieco na powyższych powodach, ale bardziej na korzyściach, jakie z turniejów odnosili, korzyściach w koniach, zbrojach i innych nadgrodach, które odbierali jako zwycięscy.

Niewielu naocznych świadków dało nam opis łowów królewskich lub pańskich. Posiadamy wprawdzie dwa wierszowane opisy wypraw łowieckich z cennemi spostrzeżeniami co do sokołów, ale te opisy bardzo są niedokładne. Szlachcic mazowiecki Cygański, którego głębokie znawstwo przyrody i zalety łowieckie znał i cenił Batory, ogłosił nawet dzieło o myśliwstwie traktujące, ale niestety ówczesna epidemia wierszowania dotknęła także Cygańskiego. Nie bardzo wprawny w piśmie szlachcic, ulegając zwyczajowi sam sobie skrępował ręce, a raczej swoje łowieckie wiadomości. Niepoetyczny ów poemat nastręczył nietęgiemu do pióra, jak sam Cygański przyznaje, autorowi niemałe trudności do pokonania z widocznym uszczerbkiem treści. Gdyby Cygański i Bielawski byli pisali prozą, dzieła ich stokroć większą miałyby dla nas wartość. Wszelkie opisy wierszowane w ogóle nie nadają się dla dokładnych a tem bardziej drobiazgowych objaśnień, np. w jaki sposób ustawiano myśliwych na grubego zwierza z białą bronią, a później z rusznicą. Wszak Cygański i Bielawski żyli w tych czasach, gdy polowano jeszcze z oboją bronią. Są to rzeczy drobiazgowe, z pozoru nie wiele znaczące, a jednak dziś dla nas byłyby wielkiéj wagi. Cygański w swem dziele „Myśliwstwo ptasze“ porusza myśliwstwo na mniejszą zwierzynę, jak dawniej mawiano: „ze psy i rusznicą“, lecz o łowach na grubą zwierzynę chyba nawiasem potrąci. Sam tytuł dzieła wskazuje, czego w niém czytelnik ma się spodziewać, mowa tu tylko o skrzydlatej zwierzynie, której łowienia nie znano jeszcze innego sposobu prócz chwytania w sieci, samołówki, albo „ze sokoły lub krogulaszki“. Więcej o łowach na grubego zwierza pisze współczesny lub nieco późniejszy Bielawski w swojem również wierszowanem piśmie pod tytułem: „Myśliwiec“. Wedle niego na niedźwiedzia „oszczep, sieć, pies, kij dobry misiowi do rzeszy“. O reszcie grubej zwierzyny mówi:

„ . . . . . . wielkie to zwierzęta,
Król polski strzelbę bierze w swe podobne święta“,

co świadczy, że w owych czasach zaledwie król lub pan możny mogli sobie pozwolić podobnych zbytków, jak rusznica, mniej zaś zamożni karmazyni, uboga szlachta, a wreszcie chłopi po staremu przebojem lub fortelem łowili wszelką zwierzynę. Poprzednicy Batorego aż do Zygmunta Augusta nie używali innej broni prócz oszczepu, dziryta lub krótkiego miecza, gdyż broni palnej dopiero za Batorego poczęto używać w łowiectwie.

### Łowy na grubego zwierza.

Mniej lub więcej liczna drużyna złożona z gości, dworzan i sług wyruszała wcześnie rano na łowy, a wszyscy konno, bo któż podówczas inaczej wyruszał z domu, chyba starzec zgrzybiały, chory, niewiasta lub klecha jeździli kolebą. O świcie więc wyprawiano się na łowy, a myśliwi mawiali:

Zwierz po nocnej swej włóczędze
Syt spoczywa mniej trwożliwy,
A trop jego, niby w księdze
W śniegu czyta frant myśliwy!

w lecie zaś lub w jesieni:

Zanim słońce rosę spije,
Pies nią sobie nos umyje,
Wietrzy lepiej, goni lepiej,
I człek chłodkiem się też krzepi.

Gwarna to bywała i wesoła wyprawa, zwłaszcza, gdy poza siołem przeszła drogę z pełnemi konwiami młoda i może ładna białogłowa, wtedy który z przodowników rzucał jej srebrny szelążek, co w części czynić nie należało, bo tem mogła się owa dobra wróżba „zaśniecić“ (niezziścić). Lecz znano się na czarowaniach i odczarowaniach, był więc też sposób zapobieżenia tej śnieci łowieckiej, rzucony dar podejmowała wróżka dopiero po przejeździe całej kalwakady myśliwskiej i po trzykrotnem spłunięciu. Biada niewieście zwłaszcza starej i brzydkiej, gdy łowieckiej drużynie przeszła drogę z próżnemi konwiami, zawsze wówczas któryś z łowców smagnął ową zwiastunkę niefortunnego skutku wyprawy. Było też na umorzenie takiej złej wróżby *remedium*. Skuteczniejszem ono było, gdy niewiasta przypadkowo się pojawiła i nie miała chęci szkodzenia, gdy była „czystą“ t. j. nie brała udziału w sobotnich soborach szatańskich, wtedy trzykrotne skropienie biczem i zmówienie trzech „Zdrowaś“ odpędzało czary. Trudniejszą wszakże była sprawa, gdy niewiasta była znaną lub podejrzywaną czarownicą, nikt z orszaku nie poważył się ude-

rzyć jej, bo toby rzecz pogorszyło. Nasi przodkowie silnie wierzyli w potęgę czarów i w moc Ducha św. Przy spotkaniu się z taką wiedźmą dwie były alternatywy, albo wrócić do domu lub złe odczarować, gdy który z drużyny znał na to sekret, a był on taki.

Cały orszak ruszał ku przeznaczonemu na łowy miejscu, bo było koniecznością dla pewnego skutku odczarów, aby ich żadne oko nie widziało, żadne ucho nie słyszało. Poczynały się szepty, zażegnywania i inne czynności, poczem odczarownik podążał za myśliwskim orszakiem.

Nasi przodkowie słynęli w świecie z uprzejmości i uległości dla płci pięknej, nieraz zbyt nawet miękli wobec czaru ich oczów, i radzi byli zawsze znajdować się śród niej, ale nie w chwili wyruszania na łowy. Toż z tej również przyczyny wyprawiano się o świcie, w chwili, gdy cały jeszcze fraucymer w śnie błogim spoczywał, i nie mógł na łowców rzucić uroków. Wiedziały o tem kobiety i nie raziło ich to, bo one były córami swego wieku, wierzyły w czary, a jaka była moc owej wiary, świadczy wymownie historyczne podanie, iż do umierającego w Knyszynie króla Zygmunta Augusta ściągano zewsząd lekarki, znachorki i czarownice w celu uzdrowienia go. Niema narodu w Europie, któryby w średnich wiekach nie wierzył w nadprzyrodzoną siłę czarów, a ludzi obdarzonych tą siłą zwano czarnoksiężnikami, astrologami, gdy nauką się posługiwali, czarownikami lub czarownicami, gdy wychodzili z gminu. Do jakiego stopnia lękano się tej potęgi, jak groźną ona była i wstrętną, jawnie się okazuje z tego, iż na zwalczenie jej dopuszczano się najsroższych okrucieństw. Nawet cesarze i książęta panujący ustanawiali na czary „Sądy Boże“ *(ordalia, Gottes Fügung Urtheile).* Polska może najmniej przelała krwi owych ofiar ciemnoty i zabobonu. Zdarzały się wypadki chłostania i pławienia czarownic, lecz działo się to w skutek wyroków ławniczych lub wójtowskich sądów, nigdy nie wychodzących od najwyższej władzy. Palenia na stosach, brania na tortury heretyków Polska niezna, jak to się działo w Niemczech, Czechach, Hiszpanii. Dziwne, iż w Polsce głównie kobiety posądzano o konszachty z piekłem i szatanami. Myśliwi przypisywali kobietom, a raczej ich oczom, młodej czy starej, brzydkiej czy pięknej, możnej pani czy ubogiej wieśniaczce, moc rzucania uroków, mówiąc przytem:

Czy to chłopka, czy królowa
Zawsze białogłowa!..

Nie tylko przy wyruszaniu na łowy radzi byli uniknąć ich spojrzeń, lecz nawet w chwili ostrzenia stępionych grotów u strzał lub ostrza broni łowieckiej, podczas lania kul albo krajania siekańca. W pewnej porze nie dozwalano nawet kobietom dotykać „unoszonych“ sokołów i przyuczonych jastrzębi i krogulców.

Lecz wróćmy do naszej myśliwskiej drużyny, zdążającej ku borom czarniejącym w dali. Snać to pańskie łowy bo zastęp myśliwych liczny, a zapewne dłużej trwać będą, bo ciągną się wozy z żywnością dla ludzi i zwierząt, niektóre ku temu celowi urządzone naładowane są psami według gatunków. Na jednych umieszczono brytany ras zamorskich i krajowej, kudłate kundle, zwane „drążkowymi“ z powodu, iż musiano każdego z osobna przy drążku upinać, aby się z sobą nie zażerały. Takich psów używano na grubego zwierza, ogarów zaś głównie na zwierzynę płową. Całą tę psiarnię nadzorowali i żywili „wodzikundle“. Nad tymi psiarczykami czyli jak ich czasem nazywano „kotłowymi“ z przyczyny warzenia w kotlach nóżek baranich lub patrochów, używanych jako okrasy do osypki, przewodził „dojeżdżacz“, postać w łowiectwie dawnem nader ważna, godna przeto szczegółowego opisu. Ostroróg w swojem dziele: „Myśliwstwo z ogary“, poświęconem królewiczowi polskiemu Władysławowi, późniejszemu królowi polskiemu, tak się wyraża o dojeżdżaczu: „Taki chłopczyk (przeznaczony następnie na dojeżdżacza) naprzód ma się uczyć domu, na polu nie bywając, psów karmić, z woźnicą psiarskim, choć drudzy myśliwcy na polu są, w kotle tłuste warzyć, zacierać, rozbijać, żeby to dobrze umiał, także koło lekarstw psich ma się od starszych uczyć, a przytem obojgu ma się uczyć trąbić“. Od chłopięcia więc poczynała się edukacya dojeżdżacza. Musiało to chłopię być silne fizycznie i moralnie, aby podołać temu mozolnemu zadaniu. Obszyty on był niemal cały w skórę, mianowicie w kaftan i hajdawery, ozuty w jałowicze buty z długiemi cholewami, czapkę miał skórzaną na głowie z podpinką. Czasem była u tej czapki niby przyłbica czyli maska z cienkiej blachy lub skóry w celu spuszczania jej, gdy musiał przedzierać się przez gąszcze.

Uzbrojony był w dzidę albo dziryt, później w małą rusznicę i miecz krótki, zwany kordelasem dla własnej obrony, albo dobicia zranionego zwierza, gdy uszedł w dalsze ostępy, a mimo zwoływania trąbką nikt z myśliwych nie przybywał. Dojeżdżacz podkładał psami, gdy trafiły zwierza, on na niewielkim, lecz silnym i dobrze najeżdżonym koniu dojeżdżał za nimi. Kiedy z jakiejkolwiek przyczyny ucięły, on zachęcał je, pomagał do odszukania tropu. Niesworne, zwłaszcza młode psy karcił harapem. Układanie młodych psów do łowów, było jego rzeczą. Psy dostawały nazwy dopiero po kilkakrotnej próbie na łowach w kniei, w polu lub na błotach, a nazwy te odnosiły się do ich zalet lub wad, niepojętne lub z natury pozbawione wiatru szły na gałęź. Nazwy te dawał im jedynie dojeżdżacz. Musiał znać dokładnie wszelkie choroby psów, umieć je leczyć, wiedzieć o sekretnych lekach, dowiadując się o nich od znachorów i znachorek, szczególniej od ostatnich, ludziom też nieraz pomocnych lub szkodliwych. Umiał też zdejmować uroki. Miał też znać naturę zwierząt łownych, ich tryb życia, fortele, których używały na łowach. Zbliska albo zdala, stępo lub w szalonym pędzie rwał się przez gąszcze, bór wysoki, moczary, dojeżdżał za psami, i tak uczył się poznawać, jak zwierz się przed psami wymyka.

Myśliwi konni zajęli już stanowiska, zbrojni tylko w dziryty, piesi stoją na przesmykach z łukiem w ręku. Znakomitsi myśliwi w małych grupkach stoją na koniach w miejscu, w którem według twierdzenia dojeżdżaczy ruszone jelenie przedzierają się w dalsze ostępy, nie mając zwyczaju, jak inna zwierzyna, wracania do miejsca, z którego ją ruszono. Cisza — wszyscy czekają głosu trąbki dojeżdżacza Grzeli, dziw nad dziwy przeszło pięćdziesięcioletniego, a wiek to u dojeżdżaczów nader rzadki, bo śród takiej pracy rychło tracą zdrowie i siły, czyli jak mawiano, schodzą z pola. Wtem dochodzi głos trąbki, daje nią znać Grzela, że stanął w miejscu, zkąd podłoży psami a raczej jednym najcelniejszym ogarem, tropowcem, zwanym podówczas „popądzcą“ albo „znalazcą“. „Trafisz“ było jego miano, dowodne też to było psisko, a wiatr jaki! Na białej czy czarnej stopie, nawet w Czerwcu i Lipcu, gdy jak wiadomo kwitnące zioła zapachem swym zwłaszcza

podczas posuchy, gubią trop zwierzyny. Trafisz wybornie gonił, wytropił on zwierzynę, choćby na szczycie dęba, jak mawiał Grzela, bo jużto trzymał się on tej zasady: zełgać to głęboko, przesadzić to wysoko. Tedy naprzód puścił Grzela Trafisza, reszta złai choć rozsworowana trzyma się konia, żaden nie wyskoczy naprzód, nawet „postrońce“, ogary, chodzące i goniące zwykle osobno, bo harap dojeżdżacza długi i bolesny, gdy nim lunie, to mimo przysłowiowego hartu psiej skóry, wnet niesworność wchodzi w nakazane karby. Zwolna postępuje Grzela, otoczony czworonożną gromadą, bo pocóż niepotrzebnem uganianiem „przygłuszać“ tropy i psuć pole Trafiszowi. On bąknął basowym głosem — jest zwierz. Na to hasło, nie czekając skinienia, porwała się złaja i zagrzmiał donośny chór różnorodnych głosów. W żyłach dojeżdżacza zawrzała krew, więc pędzi na oślep, nie bącząc na gąszcz chłoszczący, na groźne przeszkody. Jakież wrażenie wywiera ów wokalny koncert na myśliwych? Łatwa odpowiedź! Skryci w gąszczu, wygięci w łuk, z wytężonym wzrokiem i uchem, z bijącem sercem wsłuchują się w tę rajską muzykę, wyczekują niecierpliwie, ażali trzask i łomot nie zapowie im zbliżanie się stada jeleni, a zwłaszcza krasnej wieńcem jego połowy. Coraz wyraźniej grzmi ogarów granie, coraz donośniejszy szum gąszczy leśnych, więc zwierzyna się zbliża, w miarę gęstości lasu gromadnie lub rozprószona. Każdy z łowców zasyła w duchu modły do patrona myśliwstwa, by go obdarzył upragnionem szczęściem spotkania się z pędzonym zwierzem. Złudne niestety nadzieje ludzkie! Stado jeleni wbrew przewidywaniu, rączo mknie wzdłuż brzegów jaru, z swym wodzirejem, krasnym rogaczem na czele, w szalonym skoku przesadza jar, i w przeciwną rwie się stronę. Lecz i tu dosięgły ich strzały myśliwych.

Odzywają się rzadkie głosy tryumfu: „Trafił! trafił!“ Rogal przewodnik w skoku przez jar zadrżał, nie runął jednak, z utkwioną strzałą pomknął wraz ze stadem. Czynność pieszych myśliwych w tym miocie już skończona, bo jeleń nie powraca w miejsce, zkąd go ruszono, rozpoczyna się więc działanie konnych myśliwych. Wnet po przemknięciu jeleni i złai psów zjawia się dojeżdżacz na spienionym koniu dążąc w stronę, którą pomknęło stado. Sygnał trąbki: „trafił“ kazał mu wnioskować, że stado wkrótce się rozbije. Wtedy najważniejsze zadanie dla dojeżdżacza utrzymać złaję psów, szczególnie ogarów, chętnie odbijających się od gromady, których Ostroróg nazywa „postrońcami“. Stado rozprysło się, toż i ogary się rozdzieliły, goniąc za każdem stadem z osobna. Ktokolwiek siedział na koniu, pomknął uniesiony zapałem w głąb kniei za głosem ogarów. W którą udać się stronę, gdzie szukać postrzelonej sztuki, na to trzeba mieć chyba wyżli nos lub oko Indianina. Dojeżdżacz zsiadłszy z konia „nypie“ wszędzie, ażali nie dostrzeże jakiej choćby najdrobniejszej kropelki farby, ale jej nie znajduje, bo strzała utkwiona w ciele jelenia zatkała otwór rany i nie dozwoliła krwi wysączyć się. Więc w takim razie chyba przenikliwość indyjska może przyjść w pomoc, nabyta doświadczeniem śród przeróżnych przygód, lub będąca wrodzonym darem. Często lada drobnostka ułatwia orjentowanie się w obcej okolicy, w borze, a nawet śród ciemnej nocy. Podczas gdy konni myśliwi na oślep poskoczyli za głosem podwójnym psów, goniących dwa stada jeleni, doświadczony dojeżdżacz mało waży ów pościg, bo wie, że dużo czasu ubiegnie, nim psy sforsują jaką sztukę do tego stopnia, iżby się „rozparła“ czyli padła ze znużenia, że długo ona wodzić będzie psy po najgłębszych ostępach, więc stara się on tropić stadko, w którem postrzelony jeleń się znajduje, idzie tropem, szuka, rozpatruje, wreszcie skacze na konia i pomyka za głosem ogarów. Jaka wskazówka kazała mu na pewne szukać w niezawodnym kierunku rannego zwierza, to już jemu tylko wiadome.

Jak oddział wojska, ścigany przez silniejszy zastęp nieprzyjacielski, z dzielnym i rozumnym dowódzcą na czele, różnych używa fortelów, aby uniknąć pogoni napierających wrogów, tak też część stada, wiedziona przez doświadczonego rogacza, umie zmylić pogoń w rozmaity sposób, najczęściej wracając tym samym szlakiem, niemal stopa w stopę, co bałamuci nawet dowodne ogary. To znowu bieży korytem rzeczki lub potoka i tak zaciera swe tropy. Obmyśla sposoby ocalenia rogacz, objąwszy dowództwo stada na mocy siły fizycznej, która jedynie imponuje w świecie zwierzęcym. Daje on rozkazy głosem lub przykładem, a całe stado wykonuje je wiernie. Skoro tak daleko się odsadzą, że słabo lub wcale nie słychać głosów grzmiących ogarów, staje wodzirej, za nim całe stado, ukryte w gąszczu, rogal z podniesioną w górę głową wietrzy nozdrzami, nasłuchuje, to jedną to drugą łyżką strzygąc. Gdy psy znowu wpadną na zgubiony trop, poczną gonić i zbliżać się, rogal, w którego całe stado utkwiło swe świece, ruchem daje hasło do ruszenia. Znowu rozpoczyna się szalony gon w koło, ukośnie, wracanie napowrót. Jak przystanek wypadnie u zdroju lub jeziora, zwykły zjajane jelenie napawać się wodą, albo dla ochłody przepływać nurty, co dla nich jest zabójcze, zwłaszcza jeżeli następnie przystanek trwa dłużej, dostają „stężca“ czyli tak zwanego „ochwatu“, który ich nie zabija, ani pozostawia, jak u koni, dożywotniego kalectwa, lecz przechodzi po dłuższym czasie. Na razie nawidzone takim stężcem zwierzę, nie mogąc pomknąć za uchodzącem stadem, staje się łatwą zdobyczą ogarów lub myśliwych.

W tej części stada, za którą pospieszyli dojeżdżacz i niektórzy myśliwi, nie było wypadku stężca, lecz przydarzył się o wiele smutniejszy. Wodzirej rogal w początku nie wiele uczuł bolu od strzały, tkwiącej w udzie, ale po pewnym czasie widocznie wolniał w pędzie, wreszcie ustał zupełnie. Stanęło też stado, otaczając swego wodza z wyciągniętą szyją, naprzód podanemi łyżkami, utkwionym w niego wzrokiem. Już głosy ogarów się zbliżyły, pomknął wódz, ale wnet znowu stanął, a prześladowcy coraz bliżsi. Zerwała się karność w stadzie, i wszystko w popłochu umyka w różne strony. Znużony pędem i bolem, w skokach pomknął w gąszcz ostępu, ale wnet doścignęła go złaja ogarów. Strasznym jest jeleń zaatakowany z przodu, w rogach bowiem i przednich badylach posiada broń, którą najsilniejsze nawet zwierzę pokonuje, ale tył jego jest bezbronny, o czem wiedząc napastowany, stara się go zabezpieczyć wysokim brzegiem potoka lub skalistą ścianą parowu, toż pies lub wilk z doświadczenia znając broń jego przednią, atakują go zawsze z tyłu, zkąd łatwo może być pokonany. Ranny rogal czując ubytek sił w pogoni, postanawia ostatnią stoczyć walkę z rozjadłą złają ogarów, i drogo sprzedać swe życie. Młode psy, nie znające jeszcze grozy jelenich przednich badylów i kolców wieńca, rzucają się na niego z przodu, ale wnet z jękiem padają pod strasznym ciosem, stare i doświadczone z tyłu usiłują targnąć jelenie słabizny. Hałas i wrzawa piekielna, ogary osaczyły

jelenia w koło, przybywa dojeżdżacz na spienionym koniu, zadął w róg „wyciągniętego“, uwiadamiając myśliwych o osaczeniu zwierza, ale żaden z nich się nie pojawia. Dojeżdżaczowi uzbrojonemu w dziryt dla własnej obrony, gdy do późnego wieczora myśliwi ze zwierzem się nie zetkną, wolno zadać mu cios śmiertelny, ale do zachodu słońca jeszcze daleko, więc należy czekać, otrębywać, a złaję w równym utrzymywać ogniu, rannego ogara opatrzyć, konającego dobić. Wtem zdala odezwał się głos trąbki — myśliwi przybywają, niewielu, zaledwo kilku, bo niektórzy popędzili za inną częścią stada jeleni, inni na niewytrwałych koniach poustawali w pogoni i pogubili się w borze. Misya dojeżdżacza skończona, dla przybyłych myśliwych otwarte pole do popisu. Największą było sztuką rzucanie dzirytem na sposób wschodni czyli jak go zwano „saraceński“, zwłaszcza w pełnym zwierza biegu należało do szczytu zręczności. Myśliwy pomykał na dzielnym koniu za zwierzem, a zbliżywszy się na kilkadziesiąt kroków w pędzie, ciskał dziryt za zwierzem, rażąc go śmiertelnie między przednie łopatki. Ciężka ta i w duży grot opatrzona broń głęboko wbijała się w ciało zwierzęcia, powalała go śmiertelnie lub ubezwładniała do dalszej ucieczki. Czatujący na stanowisku myśliwy na wychodnego, gdy zwierz szedł na sztych, godził w jego pierś, w komorę zaś lub słabiznę, kiedy szedł na połeć.

Jak już wyżej nadmieniłem, istniał zwyczaj łowiecki szanowany niemal jak prawo, że najrychlej przybywającemu myśliwemu przysługiwało pierwszeństwo potykania się z osaczonem zwierzęciem. Jedynie głowom koronowanym lub wielkim dygnitarzom ustępywano tego pierwszeństwa. Myśliwy w dwojaki sposób zwykł był potykać się z osadzonym przez psy lub osaczonym zwierzem. Między osaczeniem a osadzeniem znaczna zachodzi różnica. Zwierz bywał osaczany sieciami, przez ludzi albo psy; osadzenie zaś dzików lub niedźwiedzi odbywało się przez psy. Kilka drążków brytanów lub kundli osadzały dzika, wpijając się zębami w jego uszy i uda; lub niedźwiedzia, szarpiąc go za szarawary, a gdy który z psów był wściekle zajadły, za gardło, jak to nam przedstawia A. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ na dwóch „pijawkach“ (bułdogi), wpojonych w szyję niedźwiedzia, lecz taki pies rzadko kiedy bez szwanku z tej walki wychodzi, zwykle przepłaca ją życiem. Przystęp do osadzonego zwierza jest łatwiejszy i mniej dla myśliwego niebezpieczny. Dzirytem lub kordelasem mógł go ugodzić bez narażenia osoby swojej na kły lub pazury, gdy psy silnie zwierza trzymały. Groźniejszem było „branie“ zwierza osaczonego. „Rozburmuszony“ niedźwiedź lub „rozfukany“ dzik obces zwykł się był rzucać na myśliwego, trzeba więc było z zimną krwią i przytomnością zejść im z drogi, tem złamać ich pęd i koniem toczyć tak, aby upatrzyć dogodną chwilę do zadania śmiertelnego ciosu, do czego jedynie nadawał się dziryt czyli kopia z drzewcem krótszem, jak kopia bojowa albo turniejowa. Użycie miecza z konia było niepodobnem, bo cięcie choćby najsilniejsze nie zadawało ciosu śmiertelnego nie tylko dzikowi lub niedźwiedziowi, ale nawet jeleniowi, skutecznem było tylko pchnięcie dobrze wymierzone, iżby ubezwładniło zwierze i nie dozwoliło mu ataku, wściekłego zwykle po lekkiem zranieniu. Osaczony jeleń, oparty o wysoki brzeg potoka, z głową zwieszoną, gałęziami swych rogów dzielnie bronił przystępu do siebie, ujrzawszy podjeżdżającego myśliwego, aż ku białkom zawracał swe rozognione źrenice, przytulał łyżki do karku, czekał zbliżenia się jeźdźca, poczem jak strzała mknął ku koniowi, prując mu brzuch kolcami. Doświadczonym był jednak myśliwy i dobrze ujeżdżony koń, który szybkim zwrotem w bok wymknął się od ciosu, rogal minął konia i odsłonił swój lewy połeć, a zanim mógł ponowić atak, już zręczny łowiec głęboko utopił mu dziryt w serce. Runął jeleń na miejscu rażony jakby piorunem. Pierwszym zwiastunem tego zwycięstwa był dojeżdżacz, który zatrąbił „upadłego“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# KORESPONDENCYE.

Stare Brody. Styczeń.

Zabieram się do napisania kroniki polowań moich z roku 1886 i zaczynam od bekasów. Tak złego roku nie pamiętam, zapewne w skutek wielkiej posuchy i powysychania błot. Na Bondurach ledwie kilka dubeltów padło, Sznyżów był lepszy, bo włościanie zatrzymując rzeczkę, żeby zawodnić łąkę, oddali przysługę myśliwym. Razem zabiłem 80 dubeltów, 27 kszyków, 12 chruścieli i 37 przepiórek. Jeden dzień był dobry po ulewnym deszczu z piorunami, zastałem 20 dubeltów, inne dnie dawały po 12, 8, 6, a bywały i takie, że ledwie parę zastawałem tam, gdzie innymi laty na setki się biło. Kuropatw w okolicach Brodów zabiłem tylko 3, za to w Kutkorzu przez parę dni polując zabiłem 42 i kaczora. Stan kuropatw u hr. Łączyńskiego jest prześliczny, ale tam wszystko jest robione po temu, żeby je rozmnożyć. W zimie zawsze jest część wyłapana, do wiosny przechowana i puszczona, a te, które w polu zostają, dostają karmę, przytem są doskonałe remizy, porozrzucane w właściwych miejscach. Klatek do łapania jastrzębi jest dużo i dobry przynoszą skutek, bo rocznie po kilkadziesiąt się łapie, a przytem zawsze parę orłów i puhaczy, i to na gołębie, chociaż widziałem na Podolu, że i na koguta dobrze się biorą.

W kniei zacząłem moje polowanie jak zwykle w Korsowie z dniem św. Huberta. Dziwne są tam mioty, bo to dębowy las, podszyty leszczyną, a gdy liść opadnie, to ledwo że nie widać nagonki, gdy rusza, a zające się roją. Jednego dnia zabiłem tam 2 lisy i 10 zajęcy, a jeszcze kilka bez strzału przepuściłem.

Byłem także na prześlicznem polowaniu u pana ordynata Czarkowskiego w Wysuczce, gdzieśmy przez 9 dni polowali w prześlicznych dębowych lasach, a chociaż śniegu nie było, polowanie dobrze wypadło. Zabito razem 22 rogaczy, 13 lisów i 238 zajęcy. Były i dziki, ale nic im na czarnej stopie zrobić nie było można, zwłaszcza biorąc miot po miocie na zające. Widziano dziki, nawet do jednego odyńca strzelano śrótem, rozumie się bez skutku. Sam gospodarz miły gościnny, prowadził polowanie z młodym leśniczym p. Wilanowskim, doskonale, cicho, spokojnie, bez żadnych narad, a wszystko szło prędko tak, żeśmy po kilkanaście miotów dziennie brali. Na tem polowaniu jeden z myśliwych zrobił trafną uwagę, że

na czarnej stopie prawie same samce zające padają i skonstatował z rzędu 76 sztuk, co znaczy, że panowie przesiadują na czarnej stopie w lesie, a panie w polu. Ta uwaga byłaby na niekorzyść charciarzy, bo znaczyłoby to, że oni przez całą jesien tylko samice wyłapują i dla tego warto, żeby panowie myśliwi dobrze uważali, czy rzeczywiście tak jest. Pałac w Wysuczce jest położony w ślicznem miejscu na wysokiej skale, droga do niego prowadzi w ślimak, zbudowany on w r. 1830 na szczątkach starego zamku, z którego dwie wieże jeszcze są w dobrym stanie utrzymane. Śliczne polowania są w Skałkach podolskich; polowaliśmy tam jeden dzień, nagonka rozstawiona idzie wzdłuż parowu. a myśliwi stoją polem i zające jak szmermele wylatują na czyste. Zabito w tym dniu 26, ale mówią, że na śniegu pada dwa razy tyle i zawsze 6 do 8 lisów. Kończąc o Wysuczce dziękuję ci serdecznie kochany gospodarzu za chleb, sól i za huk zwierzyny, którą przez cały rok szanowałeś, żeby nam zrobić prawdziwe łowieckie wesele. Ja na moją osobę zabiłem 3 rogacze, 3 lisy i 36 zajęcy.

Gdzie miałem spotkanie, jakiego nie pamiętam, to w Ryszkowcach, bo przez dwa dni zabiłem dwa dziki, 2 rogacze, 4 lisy i 5 zajęcy. To także na Podolu i chociaż ja w mitologii nie bardzo silny, zdaje mi się jednak, że muszą być dwie Diany: stepowa i lasowa i ta pierwsza musi mnie jako ukraińca protegować, kiedy w stepowych okolicach miałem takie powodzenie.

Polowałem także pod Krakowem w Słotwini, w Październiku 1886. Pojechałem tam, żeby odwidzić starego, dobrego druha, chorego towarzysza broni, Artura Sumińskiego. Wyjechaliśmy tam we dwóch z Józefem Wielopolskim; przyjeżdżamy i zastajemy go bardzo źle, ale gdy nas zobaczył, kazał zaraz zebrać nagonkę i pomimo żeśmy mu odradzali, zrobił polowanie, mówiąc, że chce z nami raz ostatni w życiu zapolować. Tak się też stało; było to ostatnie jego polowanie. Prowadziliśmy go pod ręce z powozu na każde stanowisko. Dziwny też był zbieg okoliczności, każdy z nas zabił po jednym lisie i po cztery zające. We dwa miesiące potem już nie żył. Szkoda poczciwego człowieka, dobrego towarzysza i miłego druha. Cześć jego pamięci!

Wspominam te chwile wesołe i smutne, siedząc w najgorszym humorze przy biurku, z grypą, która mnie pozbawiła miłego polowania w Germakówce, lecz nic nie pomoże mój zły humor, oni tam teraz w najlepsze polują i strzelają i wątpię nawet, żeby który wspomniał mnie i pożałował, więc trzeba się prędko kurować i myśleć o Lisowicach.

Nie wspominam o mniejszych polowaniach, ostatecznie zabiłem razem dubeltów 80, kszyków 39, chruścieli 12, przepiórek 37, kaczora 1, kuropatw 45, jarząbków 5, słonek 9, jastrzębi 3, srok 5, wron 11, psa 1, dzików 2, lisów 10, rogaczy 6 i 84 zajęcy. Razem 349 sztuk, a jak Bóg pozwoli, to jeszcze jedną sztukę myślę że dobiję. Podaję tu psa, z którego chcę się wytłumaczyć, bo z zasady nigdy psów nie strzelam, chociaż przyznaję, że są szkodnikami. Był to taki wypadek: Polowaliśmy w Wysuczce, jakiś biały kundel gonił sarny, więc proszono, ażeby gdy na kogo wyjdzie, w łeb mu strzelić. Myślę sobie: tylko nie ja, choćby i wyszedł. Tymczasem zabijam zająca w miocie, a po niejakiej chwili pędzi pies, minął o jakie 20 kroków zająca, raptem na miejscu zwraca, dopada zająca i zaczyna go operować. Ha! — myślę, muszę go nastraszyć i strzelam mu w zad, a ten nieborak z 50 kroków poszedł i padł, rozumie się porzuciwszy zająca.

*Marceli hr. Tyszkiewicz.*

---

Z Litwy w Lutym.

Szczęśliwemu spotkaniu z p. Henrykiem S., właścicielem dóbr Mołodowa w Kobryńskim powiecie, gubernii Grodzieńskiej, następnie korespondencyi z bratem jego Alexandrem, właścicielem Porzecza, zawdzięczam zaproszenie na polowanie na łosie w kniejach tych panów. Dawno już pragnąłem spotkać się z tym zwierzem, wprawdzie nie groźnym, ale okazałym. Dnia 17. Stycznia dotarłem do stacyi kolei poleskiej, drugiej za Pińskiem, zkąd wyborne konie łaskawie po mnie przez pana S. przysłane, w krótkim czasie przeniosły mnie do jego rezydencyi. W domu jego byłem wcale nieznanym, a ztąd onieśmielonym, lecz szczerość, otwartość i zacna gościnność, z jaką mnie przyjęto, wnet mnie przekonały, że wstąpiłem w progi domu obywatela litewskiego, jakich piękny zarys z dawnych czasów dają celniejsi nasi autorowie.

Raz tylko znalazłem dosyć pobieżny opis polowania na łosie w Porzeczu, nie dotykający niezwykle uprzejmej gościnności szanownego gospodarza, lecz kładący główny nacisk na wytępienie stada dzików przez zwabienie tychże i zamknięcie w samołówce, a następnie wystrzelanie ich przez właściciela, nie czyniąc wzmianki, iż stało się to w celu zapobieżenia szkodom przez nie wyrządzanym.

Nazajutrz po mojem przybyciu wyruszyłem jednokonnemi sankami, wraz z strażnikiem leśnym, wytrawnym myśliwym, do kniei, w celu tropienia zwierza. Dzień był mroźny, ale pochmurny, więc pożądany. Pomocnik na drugich sankach skierował się w przeciwną stronę, w celu przecinania tropów łosi i upatrywania tychże i miał według umowy zetknąć się z nami we wskazanem miejscu. Objazdy nasze wykonywaliśmy po bagnach, pokrytych wysokiemi, trzystopowemi kępami i po jeziorach, strumieniach lodem ściętych, kłodach, wywrotach, gąszczach i zwartych drzewach. Na każdem niemal miejscu groziły wywrot, połamanie sanek, poszarpanie odzieży, a nawet twarzy, ale gorąca chęć spotkania się z zwierzem kazały zapomnieć o wszelkich trudnościach. Tak buszowaliśmy przeszło 4 godziny; widzieliśmy wiele miejsc porytych przez dziki, lecz nie spotkaliśmy się z nimi, bo w ciszy leśnej pochód nasz zapewne je wypłaszał. Wreszcie w najbardziej dzikim ostępie spostrzegamy trzy pomykające łosie, samca i klempę, z rocznym cielęciem. Pierwszy przebiegłszy kilkadziesiąt kroków kłusem w gąszczu, zatrzymał się na chwilę na rzadziźnie, przestrzeń była 100 kroków; nie było czasu do namysłu, padł strzał, a zwierz pomknął z zwykłą szybkością. Na tropie okazała się farba z rany od kuli pękającej, widocznie śmiertelnej, bo z boku, jakoż w oddaleniu kilkudziesięciu kroków spostrzegł strażnik rozciągniętego wspaniałego samca, wielkości najtęższego wołu. Kula uderzyła na 3 cale powyżej serca i przerwała wnętrze. Strzałem przyzwaliśmy pomocnika, poczem obaj oczyścili zwierza i w bardzo umiejętny sposób umieścili go na saniach. Ważył 600 funtów.

Uradowany pomyślnym rezultatem łowów, powróciłem do domu szan. gospodarza, który witając mnie z całą uprzejmością, ofiarował mi w darze ów świetny łup myśliwski. Towarzystwo domowe pomnożone było przybyciem p. Alexandra S., właściciela Porzecza, starszego brata gospodarza, który zaprosił mnie łaskawie na dzień następny na polowanie w swoich kniejach. Wróciłem z łowów w porze południowej, miałem przeto dosyć czasu rozpatrzenia się. Wspaniały przedstawiał mi się widok z jednej strony rozległego parku, bardzo starannie utrzymanego, z drugiej okazałych budynków, z sterczącymi fabrycznymi kominami. Fabryka duża sukna, oddawna znanej reputacyi, wyrabia produkt cienki, z czystej wełny, mogący

śmiało konkurować z zagranicznymi, z exportem do Petersburga, Moskwy i Odessy. Ogromną gorzelnię parową przetworzono z dawnej cukrowni. W obu tych fabrykach porządek, czystość i działalność wzorowa. Uprzejmy gospodarz objaśniał mi wszystko w najdrobniejszych szczegółach; znając podobne zagraniczne, musiałem owym krajowym przyznać wysoką wartość i znaczenie.

Nazajutrz pożegnawszy mego zacnego gospodarza p. H. S., ruszyłem do Porzecza i tegoż dnia jeszcze w las do nadleśniczego Niemca, ktory już lat 22 tymi lasami zarządzał. Objazd trwał naprzód przez 3 godziny po miejscowościach gładkich, lecz wiedząc już z doświadczenia, że łoś zwykł przebywać w zaroślach bagnistych i wklęsłych, dążyłem wraz z moim przewodnikiem ku nim. Po godzinie uciążliwej jazdy spostrzegłem jedną sztukę, stojącą w oddaleniu przeszło 100 kroków. Woźnica twierdził, że to była klempa. Strzeliłem, poczem zwierz ruszył szybko, lecz na tropie znaleźliśmy znaczną ilość szerści krótszej i dłuższej, dalej farbę mrozem ściętą, więc gorliwie ruszyliśmy za tropem. Wreszcie dotarliśmy na strzał i w chwili przewrotu niemal sanek strzeliłem raz i drugi. Pierwszy strzał był chybiony, drugi trafny w udo poniżej pachwy. Zwierz dalej farbował coraz silniej, prześladowaliśmy go już pieszo. Po upływie kwadransa miałem go już na oku, ale strzały były ciągle tylne, więc nie śmtertelnie rażące, jednak w końcu padł i dobiłem go strzałem pod ucho. Z niemałym trudem wyładowaliśmy łosia na sanki, co trwało do wieczora, poczem wróciłem do stacyi leśnej, a następnie z tryumfem do uprzejmej gospody. Tu poznałem rodzinę zacnego gospodarza i rozgrzałem serce moje widokiem tej łączności, słodyczy i miłości wzajemnej.

Kończąc wyrażam serdeczne zadowolenie, iż mi los dozwolił zbliżyć się do rodzin, stanowiących istotną ozdobę tej nieznanej mi prowincyi. Pożegnałem nazajutrz szan. gospodarstwa z wdzięcznością w sercu, a wspomnienia tych błogich chwil pozostaną w mej pamięci na zawsze. *J. R.*

# KRONIKA.

**Wpisał się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego:**
Truskolaski Kazimirz.

---

Podwysokie 14. Stycznia 1887.

Do ogólnych skarg na brak zajęcy w tym roku i ja się muszę przyczynić. Zając należy tutaj do rzadkości, od jesieni dotąd na obszarze kilkunastoset morgowym jest ich zaledwie kilkanaście i nie strzelamy do nich zupełnie, podczas gdy w innych latach do r. 1885. było ich nadzwyczaj wiele. Sarn jest może więcej jak dawniej, chodzą stadami tak, że często spotykam na polach pod lasem po 30 sztuk razem. W lasku co kilkanaście kroków spotkać się można ze stadkiem, z czego korzystając, a nie urządzając jeszcze dotąd polowania, ubiłem dotąd (od Października 1886) tylko podczas czynności w lesie 9 kozłów. Nie mogę sobie prawdziwie wytłumaczyć, co znaczy, że ubite ostatnie 3 kozły (1. w Grudniu 1886, a 2 wczoraj) mają rogi jeszcze stare a nie rozwinięte, mianowicie dwa duże już kilkoletnie kozły mają rogi cienkie zaledwo po 3 cale długie z jedną maleńką odroślą przy osadzie, jeden zaś także kilkuletni, ma na dosyć szerokiej osadzie rogów kilka maleńkich odrośli, podobnych kształtem do odrośli rogów jelenia. Ponieważ już dość sporo kozłów strzelałem i widziałem rogi ich w rozmaitej porze roku, a z podobnymi się nie spotkałem, więc byłbym wdzięczny za łaskawe na tem miejscu wytłómaczenie mi tego, w każdym razie nienaturalnego rozrostu lub też zatrzymania starych nierozrośniętych rogów. Słyszałem wprawdzie od starych myśliwych, że kozioł postrzelony, jeżeli wyzdrowieje, zatrzymuje na zawsze rogi takie, jakie miał podczas postrzału, że ich nie zrzuca i że mu nie rozrastają się, lecz wygalają się tylko, ale sprzeciwiają się temu twierdzeniu inni doświadczeni myśliwi, więc jakaż prawdziwa przyczyna? Okolica tutejsza obfituje jedynie w sarny z przyczyn, jakie już zeszłego roku w Łowcu podałem i przy racyonalnem ich utrzymaniu możnaby dojść do świetnych rezultatów, ale przeszkodą ogromną w tem jest położenie tu w pośrodku lasów Horożany wielkiej z obecnym zarządem, ciągnącą się wąskim a długim blisko 3 kilometrowym pasem, tworzącą prostokąt otoczony polami. Otóż leśniczy tamtejszy całą granicę znów w jesieni 1886. r. poobstawiał budkami z gałęzi w odległości po 50 kroków, nawet wszystkie przesmyki sarn pośród lasów, z których to budek wieczorami, podczas księżycowych nocy, przededniem wszystko strzelają, co z lasów dla żerowania na pole się pokaże. Bardzo wiele codziennie zwierzyny pada, więcej kaleczeje i bez pożytku ginie. Nie odróżniają tam kóz od rogaczy, byle mięso było. Gdy to złe przed paru miesiącami przedstawiałem owemu leśnikowi, odpowiedział mi, że musi bardzo wiele zwierzyny odsyłać swej chlebodawczyni do Lwowa, a polować z pogonką, to rzecz za droga i rezultat nie zawsze pewny. Czy ten sposób tępienia zwierzyny osobliwie sarn jest bezkarny? W danym razie czy możebnem podniesienie zwierzostanu? Z tych budek korzystają i kłusownicy, o czem się sam ich budowniczy przekonał kilkakrotnie, gdyż przeszło 200 takich on z swymi ludźmi nie może od razu zająć, a gdy on strzela z jednej strony lasu, kłusownicy z jego budek strzelają zwierzynę z przeciwnej strony. *W. Piasecki.*

---

W dniach 4., 5., 7., 8. i 9. Lutego odbyło się doroczne polowanie w dobrach Exc. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego w Poturzycy, w powiecie Sokalskim. Wzięli w niem udział prócz szanownego gospodarza następujący myśliwi: Biliński Karol, Branicki Xawery hr., Dzieduszycki Tadeusz hr., Fredro Alexander hr. Garapich Władysław, Gołuchowski Stanisław hr., Kędzierski A., Kownacki Tadeusz, Kruszewski Wincenty, Lanckoroński hr. (z Tartakowa), Micewski Władysław, Obertyński Zdzisław, Polanowski Stanisław, Rieger Władysław, Rieger Zygmunt Dr., Sierakowski Adam hr., Skrzyński Zdzisław, Sołowij Jan, Stadnicki Stanisław hr., Szembek Piotr hr., Szembek Stefan hr., Tarnowski hr. (syn marszałka), Urbański, Weissmann Alexander, Exc. Zaleski Filip, namiestnik, Zamojski Stefan hr., Zbyszewski Kazimirz, Zurowski Teofil. Ubito w rewirach: Skomorochy: 4 dziki, 7 rogaczy, 2 lisy; Poździmirz: 10 dzików, 9 rogaczy, 12 lisow; Poturzyca: 2 dziki, 20 rogaczy, 4 lisy; Radwańce: 1 odyńca, 3 rogacze. Razem 17 dzików, 39 rogaczy 18 lisów.

---

Myczkowce 19. Lutego 1887.

W dniach 4., 5., 7., 8., 9. Lutego odbyło się polowanie w Poturzycy, dobrach Exc. Włodzimirza hr. Dzieduszyckiego. Rozpisywać się o przyjęciu nie będę, powiem tylko, że było jak zawsze serdeczne, staropolskie. Co do polowania, było ono ładne, umiejętnie z znajomością rzeczy przez samego gospodarza prowadzone, dało przy obfitości zwierzyny w kniejach niezwykłe rezultaty, które byłyby o wiele świetniejsze, gdyby nie brak ponowy, która zawitała dopiero na ostatnie dwa dni, w których też najwięcej zginęło dzików. Polowanie na dziki w znacznych obszarach lasów bez śniegu jest loterją, a z powodu, że pierwszy strzał powinien paść tylko do dzika, uchodzi wiele rogaczy, lisów, nie strzelanych. Ma i to swój urok — lisiura ostrożny cofa się, zobaczywszy strzelca, w miot i wychodzi dalej na sąsiada, by przestraszony to samo uczynić, tym sposobem jednego lisa widzi kilku myśliwych. Rezultat polowania: dzików 17, lisów 18, rogaczy 39, a więc świetny.

Pominąwszy samo polowanie, mają wieczory Poturzyckie dziwny urok — ta swoboda, ta pogadanka przy czarnej i po czarnej kawie, to pełne humoru i oryginalności album Poturzyckie, w którem się spotyka liczne grono znajomych, odrysowanych wyłącznie w zabawnych sytuacjach — to drugie album hr. F. pełne dowcipu w rysunku i wierszu, jedyne w swoim rodzaju, ten dobry humor u wszystkich, nastrajają nawet starszych do usposobienia wesołego tak dalece, że figle różnego rodzaju są na porządku dziennym, do których znany z dobrego humoru Z. S. ogół pobudza. Całość zaś jest niezwykłą rozkoszą i nader miłym wypoczynkiem po trudach codziennego życia, niedarmo hr. Leopold Starzeński spiewał na kuligu we Lwowie: „Do toi chaty, każut lude, komu je doroha, Wsiaku nużdu, wsiaku bidu łyszat u poroha“.

*Teofil Żurowski.*

Rezultat ogólny ubitej zwierzyny w kniejach Lisowickich w roku myśliwskim 1886/7. Niedźwiedzi 3, dzików 16, rogaczy 50, zajęcy 85, żbik 1, lisów 38, cietrzewi 2, jarząbków 48, słonek 55, jastrzębi gołębiarzy 4, sów uralskich 3, pies 1. Razem sztuk 306 na 771 strzałów. *Z. P.*

Kołomyja 26. Stycznia.

Wydział Kołomyjskiego Towarzystwa myśliwskiego donosi: Rok 1886. nie dostarczył myśliwym spodziewanych zdobyczy. Kaczek prawie nie było, ceranek mało. Dubelty pojawiły się wcześniej, niż zwykle, bo już 20. Lipca, były jednak chude i w niewielkiej ilości, niektóre ważyły mniej niż kszyk. Kszyków też było nie wiele i po większej części chude. Przepiórek i chruścieli nie wiele, zajęcy mało, a te które ubito, były po części węwnątrz zakażone pęcherzami tak, że niektóre były nie do użytku. Kuropatw wylęgło się sporo, lecz stosunkowo nie wiele z nich ubito z powodu, że się trzymały pagórkowatych i krzaczystych miejsc. Jako osobliwość notuję, że przy końcu Września ubito kilka kuropatw mniejszych od przepiórki, ważyły bowiem tylko po 90 gram.

Ogólne Zgromadzenie członków Towarzystwa odbyło się 22. Stycznia, na którem wybrano na 22 głosujących przeważną większością głosów: Prezesem p. Honorata Sendzimira, zastępcą prezesa p. majora Stechera, wydziałowymi pp. inżyniera Filousa, profesora Krycińskiego, nadporucznika Tuffeka, zastępcami: pp. Dr. Fil. Jarosiewicza i Vinzenza.

Z Podola.

W ostatnich dniach Grudnia z. r. odbyło się kilka polowań w majątku p. Korytowskiego. Padło w 14 strzelb w rewirach: „Czernihów“ 38 zajęcy, 17 lisów i 1 kozioł, „Janiłowce“ 23 zajęcy, 5 lisów, 2 kozły, „Małaszowce“ 9 zajęcy, 4 lisy. Syci sławy i zdobyczy łowieckiej zasiedliśmy przed wieczorem do pogadanki, prześcigając się nawzajem w opowiadaniu swych heroicznych czynów, gdy wpadł masztalerz z oznajmieniem, że „stary jegomość“ (postać nader kochana przez wszystkich) mimo późnego wieku wielki czując animusz do charciego polowania, wybrał się na nie z jednym chartem, pragnąc uszczuć lisa, którego kilkakrotnie śród pola spiącego widywano. Jegomość dosiadłszy najrączszego konia pojechał w południe, a koń w szalonym pędzie zjawił się przed stajnią bez jeźdźca. Kto żyw w domu, wózkiem czy konno rozjechał się w pole szukać ukochanego starca. Nawet żyd mleczarz powlókł się swą biedką o jednym koniu „suchen den giten Puretz“. Wreszcie wśród czystego w pobliżu folwarku „Steblicha“ dojrzeliśmy punkt jakiś czarny. „Jegomość“ — zawołał chłopak stajenny. Zbliżamy się i zastajemy jegomości siedzącego na mokrej roli z uszczwanym ogromnym lisem. Jakkolwiek jegomość utrzymywał, że koń mu uciekł, to jednak corpus delicti, naznaczone na odzieży błotem, inaczej świadczyło. Ktoś z naszego grona, sposobiący się ongi przez pół roku do stanu duchownego, przewiesił na szyi szalik, niby stułę, i przystąpił do jegomości w celu wysłuchania spowiedzi. Penitent ruchliwego temperamentu wesoło począł czmychać niepowołanemu spowiednikowi, my kładliśmy się od śmiechu. Jegomościa zabrawszy wraz z lisem na wózek, z tryumfem odwieźliśmy do domu. *J. ks* . . . . .

Z nad Sanu.

U was „na dołach“ zapusty łowieckie, możecie bowiem przy wprowadzonym nowym zwyczaju polowania z nagonką, obyć się bez śniegu i ponowy. Polujecie sobie w najlepsze, gdy my pokutujemy w domu siedząc i z smutkiem przypatrujemy się kniejom naszym zaledwo porószką pokrytym. Jak tu zapuszczać gończaki na takie niepewne pole? Była wprawdzie raz niezła ponowa, ale krótko trwała, kto pospieszył, to trochę zapolował, kto ciemiężył, żałuje. Nadeszła odwilż i już po polowaniu. Ja stary weteran w kunszcie łowieckim, siedzę w domu i przez perspektywę poglądam ku górom, lasom i pobliskiemu Sanowi. I cóż dostrzegłem, gdy powierzchnia wody gładkim jak szkło pokryła się lodem? Oto stadko sarn wzdłuż przeciwnego brzegu Sanu tam i napowrót kicające w celu dostania się na drugi brzeg ku brogom moim z owsem i sianem. Daremny wasz trud niebożęta, nigdzie niema odparu lub grubszej warstwy szronu, ułatwiających przechód. Twarde raciczki grożą „rozczachnięciem na gładkim lodzie“. Ponudziwszy nieco, poszły sarny w las na chudą strawę. Naraz lód stopniał i połamany w małe kry ruszył z wodą. Patrzę przez lunetę, prawdopodobnie to samo stadko sarn, pomimo dosyć wysokiego stanu wody, idzie wpław przez rzekę i rusza do stożka owsa, a ja pod wpływem miłego widoku do kałamarza, aby drżącą od starości ręką nagryzmolić tę może nie ciekawą wiadomość. Beskid także, jak mi doniesiono, w tym roku skąpym pokryty śniegiem, więc jelenie do tej pory na północnym, galicyjskim przebywają stoku. Rok ten dla zwierzyny łownej bardzo dobry, parkanie zajęcy przyspieszone, żeby tylko Marzec, Kwiecień a może i Maj niechciały śniegiem i mrozem rekompensować braków zimowych, źleby było w takim razie z płodem zwierzyny płowej. Zające częstem parkaniem powetują straty, ale wyginie zwierzyna, której ruja odbywa się w jesieni. Ha! będzie, jak Bóg da! *L.*

Kimirz, Styczeń.

W d. 25. b. m. odbyło się polowanie w dobrach p. Romana Wybranowskiego, w części lasów zwanych Chorążczak, na przestrzeni 100-morgowej. W 8 strzelb ubito 44 zajęcy, 3 kozły i 9 lisów. Stan sarn w lasach naszych jest świetny, bo się hoduje i oszczędza.

*H. Sozański*, leśniczy.

Popieluchy 1. Lutego.

Wykaz ubitej zwierzyny w r. 1886. w dobrach Jana Brzozowskiego na Podolu: Ptactwa wodnego i błotnego sztuk 30, kuropatw 5, kozłów 26, zajęcy 307, wilków 4, lisów 16, kun 6, sarna 1 przypadkiem zastrzelona, psów 50, kotów 2, orłów 11, jastrzębi 30. Razem sztuk 488.

Rachunek kosztów na ochronę zwierzyny i polowania w r. 1886: Nagroda straży za tępienie drapieżników 24 rs. 60 k., straży leśnej prowadzącej polowania 15.40, kupno padliny na trutkę 0.30, odebrania 2 strzelb 4·—, nagonki 237 ludzi 47.40, wódka dla nagonki 13.20, strzałowego leśniczym 25.85, strzałowego kozakom i kurynnym 51.70. Razem 182 rs. 45 k. Ze sprzedaży 8 kozłów i 146 zajęcy, po odtrąceniu kosztów otrzymano 162 rs. 70 k. — więc myśliwstwo kosztowało 19 rs. 75 kop. Nadto wydano na karm zwierzyny 10 fur koniczyny. Zachowano dla siebie i rozdano kozłów 18, zajęcy 161.

*Robert Pawlas*, nadleśniczy.

Napad wilków. Ostra zima tegoroczna i głębokie śniegi w Królestwie i na Litwie spowodowały, że się okazała w różnych okolicach wielka mnogość wilków. Wędrują one stadami całemi i są postrachem mieszkańców. Wypadek napaści wilków w tych dniach zdarzył się w gubernii wileńskiej, w powiecie trockim. Młody dziedzic wsi Horszele, Antoni Kuncewicz, w nocy wracał do domu z sąsiedztwa o mil trzy, gdzie dnia poprzedniego odbywała się huczna zabawa. Przedtem już obiegały wieści, że w okolicy wilki krążą stadami, atoli odważny młodzieniec gardził niebezpieczeństwem. Polegał też i na swych koniach. O godzinie 3. p. Kuncewicz wyjechał z powrotem do domu, nie zdążył jednak odjechać wiorst kilka, gdy na otwartem polu, zdala, usłyszano wycie wilków. Konie poczęły parskać i unosić. Stary woźnica, doświadczony w podobnych wypadkach, zaczął namawiać swego panicza do odwrotu, atoli zapalona głowa młodzieńca ani na chwilę nie chciała się pogodzić z myślą do odwrotu. Uzbrojony w rewolwer p. Kuncewicz spodziewał się skutecznie bronić od wilków. Po kilku chwilach ujrzano już z bliska iskrzące się w ciemnościach oczy dzikich bestyj, a powstrzymywane dotychczas przez stangreta konie poniosły. Stado wilków, złożone z dwudziestu co najmniej sztuk, puściło się w pogoń. P. Kuncewicz stał na saniach, odwrócony twarzą do goniących wilków, trzymając w ręku pięciostrzałowy rewolwer. Chwila jeszcze, a wilki rozszarpią uciekających. Wtem rozlega się strzał jeden i drugi.... Para wilków pada trupem, a towarzysze w jednej chwili, w oczach uciekających, rozrywają ich na drobne kawałki. Konie pomknęły jak strzały. Na chwilę wilki zniknęły, ale wkrótce widać było znowu je pędzące. Praktyczny woźnica, przewidując że trudno będzie uniknąć ponownego napadu, którego epilog byłby nader smutny, nie tracąc przytomności, przeciął uprzęż jednego z koni, który szedł na przyprzążce i puścił go na pastwę wilków. Uwolniony z zaprzęgu koń, począł zmykać w stronę, za nim puściło się stado wilków, tymczasem jadący, zyskawszy na czasie, pozostałą parą koni dotarli do pobliskiej wsi, gdzie spędzili resztę nocy. W ten tylko sposób, dzięki przytomności umysłu woźnicy, dwóch ludzi zostało uratowanych od niechybnej śmierci. *Gaz. lwow.*

Myszków 18. Lutego.

Na dwukrotnem polowaniu w lasach Daszawskich, należących do Wnej Felicyi Sozańskiej, ubito ogółem 9 dzików, 28 rogaczy (drugie tyle chybiono), 44 zajęcy, 13 lisów, 2 cietrzewie. Rezultat wcale piękny; gdyby jednakowoż aura była podczas polowań odpowiedniejszą a liczba pudeł o połowę mniejsza, byłby tenże prawdziwie imponującym. Wdzięczna drużyna łowiecka składa podziękowanie Wnej właścicielce za doznaną prawdziwą rozkosz myśliwską w jej lasach i gościnne przyjęcie w domu, i poleca się nadal łaskawej pamięci.

Karnawał myśliwski prawie u schyłku. Czarna deszczowa, zima była przyczyną, iż wogóle wszędzie mniej świetnie wypadł, jak się tego spodziewano. Na naszem Podolu brak zajęcy był widocznym. Zeszłoroczny ostry i śnieżny Marzec był zapewne tegoż przyczyną a wiosenne i letnie posuchy dokonały dzieła zagłady. Polowałem w kniejach dobrze

położonych i zaszanowanych, gdzie corocznie padało kilkadziesiąt zajęcy, w tym roku zaś ubito zaledwie kilka a widzianych było kilkanaście. Stan sarn z każdym rokiem się podnosi, mimo iż w niektórych miejscowościach widoczne panuje sprzysiężenie na zagładę rodu sarniego. Znam myśliwych, którzy wybijają w swoim lesie, cokolwiek naprzeciw lufy się zdarzy, bez względu na płeć, wychodząc z tej zasady, iż sarny są tylko u nich „przechodowe , w kniejach zaś zadzierżawionych dla tego, że do nich nie należą. Piękne ustawy ochronne istnieją dla Podola, ale tylko na papierze. W Stryjskiem, o ile się przekonałem, delegaci Tow. łow. nader troskliwie czuwają nad poszanowaniem ustawy ochronnej, u nas zaś dzieje się wręcz przeciwnie ze szkodą zwierzostanu. *M. K.*

---

Z Beskidu. Gdzie tak jak dzisiaj 8. Grudnia straszliwy wicher miotając spadłym śniegiem, wyjąc w naszych lasach szaleje, a na wyżynach przewalają się szare mgły, bardziej jeszcze ubogą jasność dzienną zaciemniając, wtedy zaprawdę zawitał ponury i smętny dzień zimowy. Takie popołudniowe święto może nawet najniechętniejszego do pióra leśnika zapędzić do biurka, aby wspomnieniom uroczych chwil myśliwskich poświęcić swą pracę. W południowych okolicach „Wienerwaldu“ stała się myśl o jesiennym ciągu słonek prawdziwą ironią, w górach Leity (Mannersdorf, Sommerein) był on lichym. Z okolic łowieckich, w pobliżu większych wód, dochodzą pomyślniejsze wieści, a do tych muszę i ja się przyłączyć. W naszych, zawsze wilgotnych Beskidach był ciąg jesienny tak dobrym, jakiego od lat dawnych nie było, a fakt ten niech stwierdzi prawdziwość mniemania, że słonki w tegorocznej suchej jesieni szły przyrodzonym sobie szlakiem, ile możności najbardziej wilgotnym. W tem lesie ubiliśmy 27 rogaczów, między tymi niezwykle wiele z anormalnymi rogami, na których wytworzenie się wpłynęła niezawodnie przeszłoroczna sroga zima. Pomioty zajęcze były w górach dobre, lęgi zaś kuropatwie wyginęły w skutek deszczów. Na wiosnę mieliśmy też kilka kamionek, z których jedna parka przez całe lato na pewnej halawce się pokazywała, ale nie wodziła młodych. Niezwykle piękna jesień sprawiła i u nas pewien nieład w świecie roślinnym i zwierzęcym. Ptaki wędrowne nie chciały się rozstać z swoją ojczyzną, jeszcze przy końcu Września szybowały jaskółki w naszych dolinach. 21. Października znajdowaliśmy wiele dojrzałych poziomek i kilka malin, nawet niektóre krzaki tychże poczynały kwitnąć po raz trzeci. Mnogie grzyby wyrastały w tym czasie z ziemi, a nasi górale przepowiadali z tych oznak wiele śniegu po Bożem Narodzeniu. Nie ociągał się on wszakże tak długo z swojem przybyciem, pierwsza ponowa zajaśniała 28. Listopada, a rano chwyciły się 3 kuny w łapkach. Pewien handel hurtowny doniósł nam, że cena kuny teraz znacznie wyższa. Liczne lisy pojawiły się u nas w tych dniach, postaraliśmy się o odpowiednie ich przyjęcie. Budki z puhaczem były w tem lecie przez straż łowiecką pilnie odwidzane, z ubitych drapieżników wymienię tylko dwa orły orliki (aquila naevia) i kilka pszczołojadów pospolitych (pernis apivorus), które nie są także tak bardzo niewinnymi, jak to różne dzieła przyrodnicze utrzymują. Myszołów pospolity (buteo vulgaris) rzadko nadciąga w nasze góry. Stan głuszców jest dobry, ale młodych jarząbków nie mogliśmy do dziś dostrzedz. Jest faktem stwierdzonym na tutejszym terenie łowieckim, że stan głuszców się podnosi, jarząbków zaś bezwarunkowo nieustannie zniża. Główną przyczyną tej zniżki jest brak żeru zimowego, bo jest rzeczą naturalną, że w tutejszych górskich leśnictwach nie dozwala się zbyt rozmnażać miękkiemu drzewostanowi. Przed kilku laty widywano przy leśniczówce, położonej 900 metrów wysokości u wypływu Czarnej Wisły, parę jarząbków na kilku jarzębinach przez całą zimę. Żywiły się ich jagodami i szczęśliwie przetrwały najgorszą porę. To spostrzeżenie przywiodło mi myśl w celu podniesienia stanu jarząbków, zakładania remiz jarzębinowych. W skutek przyzwolenia władzy zwierzchnicznej zasadzono kilkadziesiąt hektarów w odpowiedniem miejscu, w długiej łączności, jarzębiną i podszyto ją jałowcem i karłowatą sośniną. Gdy się te remizy połączą, to stanowić będą nie tylko dla jarząbków, ale też dla każdej innej zwierzyny, a szczególnie dla głuszców nader pożytecznemi. Nie obiecuję sobie naturalnie z tej próby natychmiast świetnych rezultatów, ale jestem przekonany, że niejeden kurak za pomocą takiego żywienia może być uratowany. Jako gorliwy sprawozdawca z wszystkiego, co tu w lasach żyje, muszę jeszcze nadmienić, że obecnie wielkie gromady krzywonosów ożywiają las, korzystając z roku bogatego w szyszki. Nie czynią one zbierającemu gorliwie owe szyszki leśnikowi o tyle mało uszczerbku, że od lat kilku owad grapholita strobilella szyszki w nieskończonej ilości niszczy tak, iż tylko w niewielu miejscach, gdzie ów owad w mniejszej liczbie się znajduje, zdrowe szyszki jako nasienie mogą być zebrane. W końcu kilka jeszcze słów dorzucę o mieszkańcach strumieni górskich i ich hodowaniu. Sucha jesień była dla połowu łososia nader niekorzystną, ponieważ przy niskim stanie wody ryby nie mogły dostać się do tarlisk. Obecnie wody się także nie podniosły i z tej przyczyny mamy tę uciechę, że cały na wiosnę wylęgły narybek pozostał w potokach, gdy zwykle fale go daleko uprowadzały lub toczące się kamienie go pokrywały. Niestety niektóre niegodziwe indywidua z rodzaju homo bestia poczyniły wielkie szkody w naszym stanie rybnym. Dziś mamy znowu około 130.000 jaj pstrągów w kalifornijskich ikrzyskach, a oczekujemy prócz tego 50.000 sztuk jaj łososia, które Berlińskie Towarzystwo rybackie, w celu zarybienia Wisły, do wylęgu tutaj nadsyła. Kto się chce co do sztucznego hodowania ryb jaknajrychlej i dobrze poinformować, temu mogę bardzo polecić małe dziełko: Die Fischzucht von Max von dem Borne. Książka jest małej objętości, zawiera wszakże wszystko pożądane o rybach i ich hodowli, a liczne illustracye objaśniają tekst wybornie. W końcu dodam przykład drapieżności i zuchwałości małego zwierzątka. Mój sąsiad i kolega Ambros spostrzegł 27. Września w wodzie pstrąga, płynącego prawie zupełnie bezwładnie. Zbliżywszy się dostrzegł coś ciemnego wiszącego u głowy tej ryby, dobrze wymierzone uderzenie wyrzuciło mysz ślepuszonkę (sorex). Wgryzła się ona około 20 cm. długiemu pstrągowi u skrzeli, i gdyby go niespodziewana pomoc nie uratowała, byłby się stał łupem tego małego, ale niesłychanie zuchwałego zwierzątka. Wisła 8. Grudnia 1886.

*R. Karbasch*, leśniczy dóbr arcyks. (Jagdzeitung tł. J. Ł.).

---

Z rewirów Bialskiego klubu Diany. Przesyłam krótką wiadomość o naszych łowieckich stosunkach. Polowania na kuropatwy mogły się w naszej okolicy nazwać dobremi, ponieważ teren mamy przeważnie pagórkowaty. W Pisarzowicach widywałem około 14 stadek, każde nie mniej jak 12—14 sztuk, jałowe parki były rzadkie. W Alce, którą w tym roku objęliśmy po istnym „rzeźniku“, było także wiele kuropatw. W Wilkowirce Hurzicko nie ubito ani jednej, z 5 rozpuszczonych par było tylko stadko, złożone z 6 młodych kur, jakkolwiek w roku zeszłym było ich tam 20 do 30 sztuk. Rewir ten nie odpowiedni dla kuropatw, leży on na łęku górskim między Bielskiem a Żywcem, może klimat za ostry, zresztą spadają tam w każdym roku silne ulewy. O Ponabce co do kuropatw nie warto mówić, jest to rewir górski, a wąska dolina Soli bywa w każdym roku zalaną. Natomiast w pobliżu Oświęcimia wydzierżawiliśmy niedawno rewir „Poremba“ głównie ze względu na kuropatwy. Uroczo on położony w dolinie i miało tam się znajdować wiele, ale tego roku tylko jedno stadko. Razem wziąwszy na zalewanym i niskim terenie prawie żadnej, na pagórkowatym wiele kuropatw. Słonek było w tym roku mniej jak w przeszłym. W rewirach klubowych zabito tylko 3, w Starym Bielsku, gdzie mieszkam, 7 sztuk. Pierwsze dwie widziałem i zabiłem 12. Października, ostatnią widziano i ubito 3. Listopada. Zajęcy widziano dosyć wiele, ubito ich też więcej, jak w roku zeszłym. Polujemy na każdym terenie raz, co się już w części odbyło lub jeszcze odbędzie. Gdy polowanie z powodu małej liczby uczestników nie może być urządzone, bywa na ten rok bardzo chętnie zaniechane. Ubijamy 60 do 80 zajęcy, w istocie bardzo mało, zwłaszcza na tak wielkim terenie, jaki klub miał w roku przeszłym, w tym roku nastąpiło znaczne polepszenie. Najlepiej by było przez 2 lub 3 lata wcale nie polować, ale to trudno, bo klub rozprószyłby się, każdy chce mieć przyjemność, więc polować trzeba choćby z wielką oszczędnością. Jak w zwierzynie tak też w gminach notujemy przybytek, Alce łączą się z Pisarzowicami nader korzystnie. Kapitan Klucki w tym roku nie bije zajęcy, tylko dla kuchni dostarcza z niepewnych, granicznych miejsc, z czego klub bardzo korzysta, bo te granice są szanowane, a gminy Alce i Pisarzowice w znacznej długości łączą się z komplexem „Kozy“. W Kozach wiele się robi dla łowiectwa, co dla naszej okolicy bardzo pożądane i obecnie już piękne przynosi rezultaty. Niestety pada tu i owdzie jaka sztuka szlachetnej zwierzyny z rąk drapieżnych.

Bielsk 14. Grudnia 1886. *P. (Jagdzeitung).*

---

Sport i łowiectwo. Towarzystwo Wyścigów konnych w Królestwie Polskiem, na walnem posiedzeniu z d. 20. Lutego b. r., pod przewodnictwem Augusta hr. Potockiego, uznało potrzebę, aby choć jeden codzienny, poważny organ obznajomił ogół ze „sportem i hodowlą“ w sposób wyczerpujący. Gdy więc Słowo (Warszawskie) utrzymuje stale rubrykę „Sportu“ i codziennie prawie podaje wiadomości z tego działu, pismo to obrane zostało jednogłośnie urzędowym organem Towarzystwa Wyścigów w Królestwie Polskiem. Zaznaczamy przytem, że pod rubryką „Sport“ umieszcza różne wiadomości z dziedziny wszelkich rodzajów Sportu, a więc i z łowiectwa. *K. P.*

---

☞ Ktoby miał do zbycia dwu lub trzyletniego jamnika (pieska), zechce się zgłosić listownie lub osobiście do Redakcyi Łowca.

---

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.